

WYBÓR POWIEŚCI

J. KRASZEWSKIEGO

WYDAWNIK TARNOPOLSKI

Serya II,

T. 44.

ORBIS K.

POW. I.

1904

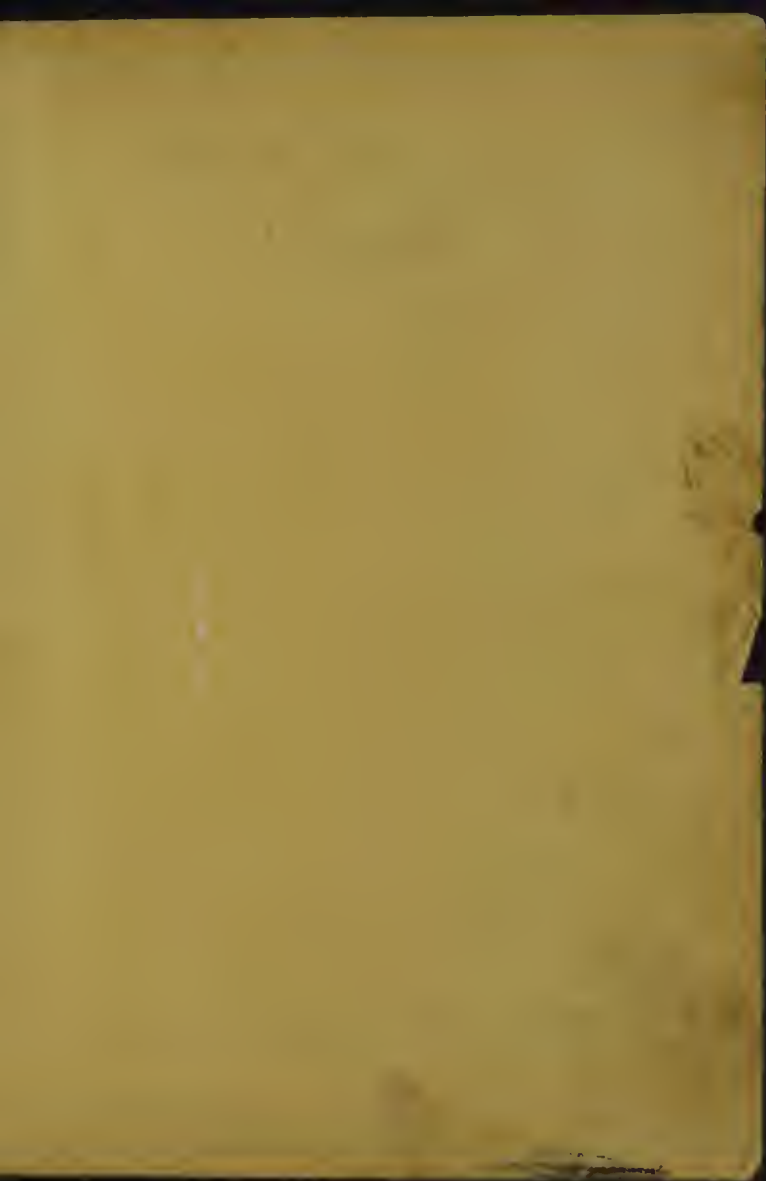
WYDAWNIK TARNOPOLSKI

WYDAWNIK TARNOPOLSKI

Ryus Town  
N 74 E

Sound

1



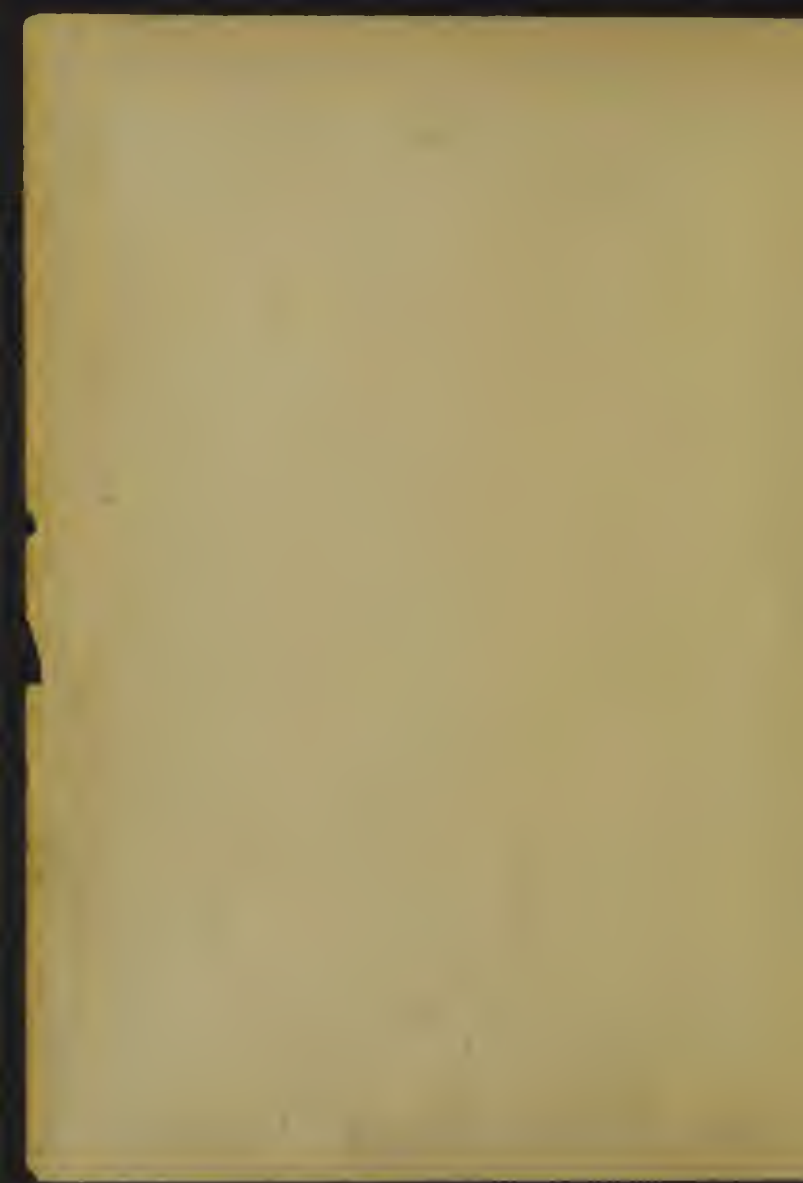


WYBÓR POWIEŚCI  
J. I. KRASZEWSKIEGO  
(WYDANIE TANIE).

---

SERYA II.

Tom czterdziesty czwarty.



# ORBEKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

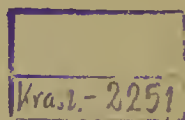
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

—  
1885.



Доволено Цензурою.  
Варшава, 1 Сентября 1883 года.

1595 R 380



## ROZDZIAŁ I.

Wioseczka Krzywosielce, położona w okolicy Siedlec. uważaną była, pomimo małej, stosunkowo do innych dóbr tej okolicy, rozległości swej, za jedną z najpiękniejszych i najwygodniejszych na kilkadziesiąt mil kraju w około. Liczono ją do tych posiadłości, które u nas zwyczajnie złotemi jabłkami zwano; ryby, grzyby, mąka, łąka, wszystko w niej było, czego tylko zapragnęła dusza, wyjąwszy, jak mówią, ptasiego mleka.

Z owych jeszcze wieków, gdy stosunki dalsze były utrudnione, a ludzie zbliżyć się do siebie i towary nabywać mogli tylko na wielkich dorocznych targowiskach. pozostało nam to pojęcie dobrego majątku, przywiązane do ziemi, która mniej więcej wszystkie skromne potrzeby ówczesnego życia zaspokoić mogła. W owych też wiekach każda niemal wioska, co najwięcej z pomocą blizkiego miasteczka. obchodziła się sama sobą. Życie było proste i niewykwintne, a te droższe przedmioty niezbędne, których dom własny

dać nie mógł. dziedzictwem spadały z pradziadów, nawet aksamitne sznury po kika z kolei wdziewało pokoleń. wcale się tego nie wstydząc. Zbroje, choć drobniły barki, pokładano coraz grubiej łosiowemi kaftanami. ale jeszcze je dźwigano, żaż nieużyteczne. zardzewiałe zawisły spoczywać na ścianie. Szlachecki dwór odległych kątów prowincyj, jeszcze w XVIII wieku mieścił w sobie mnóstwo rzemieślników i wszystkie przemysły powszedniemu posługujące życiu. na małą skalę.

Sycono miód. wylewano świece. warzono piwo, tkano sukna i kobierce; na wsi sporządzały się płótna i bielizna stołowa. Dwór miewał swojego kowala, ślusarza, cieślów. stalmachów, stolarzy, krawców, szewców. mularzy. Nie byli to zapewne rzemieślnicy zbyt biegli i wykształceni, ale po nich wymagano trwałości roboty więcej niż wytworu i sztuki. wychodziło to może drożej, ale nie opłacało się gotowym groszem. a pieniądź też był rzadszy i przeznaczeniem jego, aby nieco popłuty szedł do mieszka. Tak się zbierały kapitały wprawdzie nie procentujące. ale nie roztrwaniane.

Otóż Krzywosielce miały to do siebie, że w nich właściciel mógł się sobie zamknąć, odosobnić i niczego od nikogo nie potrzebując, żyć tak, jak się to wówczas żyć było przywykło: bez zbytnich prywacyj i niedostatku pierwszych potrzeb średniego stanu. Mała wioska. ale zamożna. rozciągała się po nad rzeczulką, żwawo płynącą do Buga, po nad nią leżały prześliczne jej łąki. okrążone majestatycznemi lasami, na pół czarnemi, wpół iglastemi. Zaoszczędzony starodrzew dosięgał tu nadzwyczajnych rozmiarów, których tylko

na nizinach. jak Białowieszka puszcza dochodzi. Sosny kupowano na maszty, a na pniu dębu ściętego dwóch ludzi mogło się położyć i wyciągnąć nogi wygodnie. Pola wzniesione nieco, były żyzne i rodziły piękną pszenicę; ryb dostarczała żygawka rzeczulka i sadzawki około dworu.

Starzy dziedzice Krzywosielec dobrze też sobie byli obrali miejsce na zabudowanie dworu. i osadzili drzewa, które teraz otaczały go jakby gajem gęstym i zielonym: lip, klonów. kasztanów i jodeł.

Dwór był more antiquo, na podmurowaniu, ale drewniany. utrzymywano powszechnie, iż takie są zdrowsze. Drzewo wszakże, ścięte w porze, dobraną doskonale, wyschłe, stało jak mur sto lat, nie wypaczając się i nie zsiadając. a pan Bóg od ognia strzegł.

Zdała od grobli jedno tylko czoło, ciemne. poważne, z dachem ganku na słupach rzeźbionych widać było. przed nim, jakby na straży dworu, nieco opodal stał ogromny krzyż drewniany. czarny. który ramiona stare drzewa przenosił; z gąszczy drzew dobywała się dalej skromna wieżyczka domowej kaplicy; po za drzewami kryły się gumna i zabudowania.

Nie było w tem wszystkiem nic szczególnego, nic coby zwracało uwagę osobliwością jakąś. przecież przejeżdżając każdy sobie powiedział. w duszę spojrzawszy:—Jak to tu dobrze i zaciszno być musi!

Tak, dawniej cisza, ten pokój. którego świat dać nie może, nważanym był za dar najdroższy: w ciszy chciano spędzać ten żywot Hiobowy, żywot prób i boleści, jak najmniej pragnąc. jak najmniej wywołując walk i przygód. byle się czysto i cało do brzegu wiecz-

ności przybilo! — Naówczas jeszcze była wieczność i nadzieja, dziś — ale to do powieści nie należy.

Człowiek brał za młodu do sakwy pielgrzymiej tę najgłówniejszą prawdę kierowniczą, że tu jest gościem krótkim, że tu kruche i wątłe wszystko, że żywot znikomy, on sam i ludzie słabi, że wszystko zawodzi, i że, jak Kochanowski śpiewał, cnota tylko skarbem, którego nikt nie zabierze!

Wszystko się mu też w tem świetle wydawało inaczej, rzeczywistość była dla niego snem, a wiara w niebiosa rzeczywistością jedyną. Ztąd wcale inna cena rzeczy ziemskich i żywot prawie zakonny, bez jutra... na obozowisku!

Słabsi się zapominali na noclegach życia, ale bicz Boży chłostał i szli dalej z pokorą. Nikt się do zbytku nie przywiązywał, do tego co roznamiętnia, rozgorączkowuje i oslepia człowieka na uietrwałość doczesnych rzeczy; szło się, byle z bogiem, w pokoju, a do dobrego końca. W takim też świetle wiele ruchu, krzątania zabiegów być nie mogło. Po co się starać? na co ubiegać o to, co jutro rzucić się miało wśród drogi?

Dwór w Krzywosielcach i zdala i z blizka takim się wydawał mieszkaniem człowieka, oczekującego wielkiej godziny powołania do sądu i przejścia na świat inny. Otaczała go cisza, dziedziniec zarastał trawą, jedyna ścieżka do kaplicy cokolwiek była wychodzoną i jedna cienista ulica w ogrodzie. W domu ciemno, pusto; głucho: jeden stary sługa, jeden chłopak do pomocy, stara klucznica i niemłody woźnica.

W ciągu roku i lat tak się tu mało co zmieniło; wszystko szło tak jednostajnie swoim porządkiem, że

zwykłym trybem podobnej organizacji życia. — choć dnie czasem bywały nieznośnie długie, lata biegły jak strzały. Jednego od drugiego rozpoznać nie było można, ani dat pochwytać.

We dworze mieszkał od lat przeszło dziesięciu zamknięty jak anachoreta, człowiek ni młody, ni stary. w wieku średnim (miał czterdzieści lat podobno), pan Walenty Orbeka. Choć nazwisko brzmiało z cudzoziemska i pochodzenie też może było nie tutejsze. rodzina ta bardzo już długie wieki gnieździła się w kraju. z nim zrosła i używała własnego herbu. a prerogatyw szlacheckich. Orbekowie mieli nawet piękne koligacye. Dziad był jakimś miecznikiem, ojciec podczaszym ziemi Litewskiej, tylko pan Walenty. zwany przez grzeczność podczaszycem. niczem być nie chciał.

Za młodu. skończywszy wychowanie, rzucił się był w świat gorąco. ale widać. że się tam na nim oparzył, bo po śmierci ojca. wróciwszy do Krzywosielec, już się ztąd nie ruszył. Znajomości ani szukał. ani ich do zbytku unikał: przyjmował grzecznie. odwiedzał rzadko i to tylko z musu. aby nie chybić sąsiadom: mówił mało, nie znano w nim fantazyi żadnej, prócz że książki lubił i nad niemi całe dnie i noce przesiedywał. Grywał przytęm na klawikorcie. a gdy mu czytania i muzyki na zajęcie czasu było mało. mówiono. że malował także. choć jego robót żadnych w domu widać nie było. W kaplicy odprawiała się regularnie Msza święta co niedziela i święto; nczęszczał na nią pan Walenty, a prócz tego odwiedzał ją i w dni powszednie, ale uważano, że siedział zamyślony. nie mōdląc się. bez książki.

Ze wszystkiego widać było, że na sercu jego spoczęła ciężka ręka boleści i niezgojone pozostawiła na niem rany; ale z życia jego przeszłego nikt nie prawie nie wiedział;—domysłano się tylko. Pan Walenty był zresztą człowiekiem wychowania pięknego, słodkim, nprzejmym, lecz jakby z postanowienia chłodnym i ująć się niedającym. Nikt z niego słowa gorętszego nie dobył. Jeżeli w pierwszej chwili objawił zdanie przeciwne w rozmowie, w rozprawy dalej i dowodzenia się nie wdawał i jakby opamiętawszy się cofał, milcząc uparcie.

Człowiek tego rodzaju, choć nie bardzo majątny, ale rządzny, nie stary. swobodny. obudzał naturalnie nie jedną chętkę poznania go w ludziach bliżej zamieszkałych. nie jeden też projekt niewieściej główki; ale to się okazało tak niemożliwem wkrótce. że o nim później prawie zapomniano. Żałowano go. ubolewano nad nim. jak nad człowiekiem straconym. Tak utrzymywały panie.

Najgorętsze wejrzenia odbijały się od niego, jak od opoki; zdawał się ich niewiedzieć i nierozumieć.

Zresztą pan Walenty. acz poważny i milczący. wcale się nieszczęśliwym nie wydawał. nie skarżył. ani za takiego chciał uchodzić. owszem oświadczył wszystkim, że mu na wsi. wśród tego spokoju, dobrych ludzi, starych drzew, mierności dostatniej, wygodnie było i niczego więcej nie żądał, tylko żeby tak dokończyć cichego żywota.

Ciekawsi wiedzieli doskonale, (bo to w sąsiedztwie, a przy braku zajęć każda drobnostka obchodzi) jak pan Walenty dnie przepędzał. Raz na zawsze jeden tam był i prawie niezmienny porządek.

Wstawał nie rano w złą porę, na wiosnę i latem dość wcześnie, stary jego kredencierz i sługa razem, którego Jaśkiem zwano, choć włosy miał siwe. przynosił mu kawę. a zastawał go już z książką w rękę najczęściej. Po tem śniadaniu. albo w ogrodzie pod lipami. lub w pokoju, czytał pan Walenty do obiadu który dawano obyczajem owych czasów. najpóźniej o pierwszej. Jedzenie było bardzo proste. a do niego szklanka czystej wody. lub rzadko jeden kieliszek wina. Po obiedzie zwykle grywał na klawikorcie do wieczora; szedł na przechadzkę, wracał na wieczerzę. o dwóch potrawach, i grał jeszcze, albo czytał do późna w noc. Czy że nie mógł sypiać, czy że mu cisza nocna do pracy była najmilszą, długo przeciągał czuwanie i dwie świece woskowe. które Jasiek mu stawiał, nie starczyły prawie nigdy: spalał jeszcze zapasne, które zawsze przygotowano dlań na kominku.

Czasem, wśród nocy. ludzie słyszeli chód jego żywy po pokojach, lub dziwną jakąś. burzliwą grę na klawikorcie. Jedyną zmianą w tym porządku bywało. że się puścił z książką w lasy i z ołówkami na przechadzkę, a w takim razie często obiadu nie jadł. ograniczając się wieczerzą.

Zmuszony do wyjazdu na godzin kilka, powracał do domu z widoczną przyjemnością. z twarzą rozpromienioną i biegł zaraz do swoich książek. Nie miał on ich wiele, nowych kupował mało; trzymał gazetę jedną, najwięcej grzebał się w starych foliantach. które mu z różnych stron przysyłano. Pożyczał też po sąsiednich bibliotekach. w Kodniu, w Biely, a nawet w Lublinie.

Jasiek utrzymywał. że rzadko. lub prawie nigdy

nie widział go piszącego; robił notatki na małych papierkach, ale te potem garściami w komin rzucał. Komin ten, dniem i nocą podsycany olchowemi. suchemi drewnkami, był wielką przyjemnością pana Walentego, nałogiem, bo nawet latem w pokoju bawialnym tlała zawsze kłoda olszowa. Ogień ten stawał mu widać za towarzysza; z książką na kolanach. z głową spuszczoną, patrzył w płomyki sinawe. zielone, fioletowe. różowe, które tylko sucha olszyna wydawać umie w tak pięknych barwach, i dumał, a dumał bez końca. Jasiek, przywykły instynktowo do tej roboty. wchodził po cichu i gdy jedno polano gasło. drugie podkładał.

W nocy znać on sam podrzucał drzewa, bo rzadko kiedy z rana na nowo to ognisko rozpalać było potrzeba.

W niedzielę szedł pan Walenty na mszę, siedział milczący. często zapominał się i dłużej od innych tu pozostawał. ale nie widziano go, żeby mu się usta poruszyły modlitwą. Czy źródła jej wyschły w nim, czy cała ona wewnątrz duszy się kryła? któż to wie?

Ksiądz Porfiry, Bernardyn, człek zacny i uczony. ba nawet Św. Teologii magister, który ze mszą do Krzywosielec przyjeżdżał. postrzegłszy ten chłód w człowieku. dla którego miał szacunek usiłował go trochę badać i duszę mu otworzyć, ale pan Walenty z wielką go cierpliwością wysłuchawszy, odpowiedział:

— Mój ojcie, nie sądzicie człowieka z powierzchowności. różne są usposobienia ludzkie, a często ten co usta ma zamknięte najrzewniej i najgoręcej się modli.



I ksiądz Porfiry, jako mądry kapłan. zostawił go w pokoju, jego wewnętrznej modlitwie.

Drugim razem. znając to jego życie. na pół żartem zagadnął:

— A już też. podczaszycu kochany. moglibyście śmiało wstąpić do klasztoru. bo i tak zakonne życie prowadzicie, a widzę u was i Ś. Bernarda i Summę Ś. Tomasza, i Bollardystów. i Chryzostomów i Augustynów. więc wam Teologia miła... Stworzeni jesteście do celi!

Pan Walenty się uśmiechnął.

— Gdybyż-to. gdyby tak było!—zawołał,—ale was znown mylą pozory, mój ojcie. Nie czuję się ja godnym tego powołania, anim w takiej zgodzie z duszą moją. żebym ją mógł jako czystą złożyć Bogu na ofiarę. A kto wie, czy kiedy do tego dojdę?

Wskazał na dopalone zgliszcze w kominku.

— Patrz. mój ojcie rzekł—nie powiedziałżebyś. patrząc na te siwe popioły. że tam już iskiereki nie ma pod nimi? Pomsz-że je. a ujrzysz żar. który mocniej pali nad płomień, a dłużej nad nie trwa. Tylko że wiek przykrył go tym zimnym popiołem.

I ksiądz Porfiry. jako mądry kapłan. znown zamilkł, ale sobie pomyślał:

— Biednyż to człowiek. jeżeli tam w nim takie żary pozostały.

A wieczorem na jego intencję odmówił litanią. po tem był już spokojny.

Tak się to wiodło w tych Krzywosielcach, a byli tacy. co panu Walentemu szczerze zazdrościli tego usłanego wygodnie gniazda i tak porządnie osnutego żywota. I nie jedna młoda i ładna panienka, patrząc

zdala na mężką bladą, dość pięknych rysów i szlachetnego wyrazu twarz człowieka tego. który miał wiele uroku w słodczy charakteru, malującej się na obliczu,—westchnęła sobie, myśląc: — Byłby dobry mąż z niego!

Ale w tem właśnie był sęk, że pan Walenty. grzeczny dla pań, jeżeli się z niemi spotykał. nieokazując im ani wstętu, ani obawy, jakoś tak zimno się obchodził, tak króciuchno kończył rozmowę, iż się do niego żadna przybliżyć nie śmiała.

W braku wiadomości o żywocie i sprawach tego tajemniczego sąsiada, krążyły wieści po okolicy, niewiedzieć z kąd pochwytaue, jedne dziwniejsze nad drugie; powtarzano je wieczorami, ale rozsądniejsi nie dawali im wiary. Kiedy niekiedy to pan sędzia Dostałowicz. to pan łowczy Wirczyński. to nawet podkomorzy Bukowiecki, odwiedzali pana Walentego w jego Tebaidzie. jak ją nazywał ks. Porfiry. Zastawali go zwykle u kominka. nad jakąś książką. albo przy klawikorcie. który zamykał śpiesznie, bo się z muzyką wcale popisywać nie lubił; przyjmował ich uprzejmie, prawie wesoło. dobrą kawą. owocami w lecie, czasem kielichem starego węgryna: rozmawiał żywo i okazywał wielkie wiadomości, ale do dna człowieka nigdy się dobrać nie było można. Każdemu potem z łaskawych sąsiadów w tydzień, półtora, ceremonialną płacił wizytę za pamięć jego. i zabawiwszy godzinkę, choć go tam zapraszano gościnnie, śpiesznie do Krzywosielec powracał.

We święta i dnie huczniejszych zabaw w zamożniejszych domach, jak u podkomorzego Bukowieckiego. u którego się bawiono wesoło, bo miał trzy dorod-

dne i posażne córki na wydaniu, zapraszany listami, zawsze się nie zdrowiem lub interesami jakimi wymówił. aby zgiełku i tłumnej kompanii uniknąć.

Byli by mu zapewne wszyscy na ostatek dali pokój, zostawując jego losom. gdyż nikt dotąd na najmniejszą zmianę jego postępowania wpłynąć nie umiał. gdyby nie nadzwyczajny wypadek. który dołą szczęśliwego dotąd (inaczej nazwać trudno) pana Walentego wstrząsł i spokojem jego zachwiał — na zawsze.

Mówiliśmy już. że pan Walenty wypisywał sobie Gazetę Warszawską, nie zerwawszy do tyła ze światem, żeby go już nic z niego obchodzić nie miało: rzadko bardzo przybywało co z poczty, oprócz tego dziennika, po który raz w tydzień aż do Brześcia podobno posyłać musiano.

Często też gazeta przywieziona kilka dni przeleżała. nietknięta nawet, na stoliku. bo gospodarz czem innem zajęty. nie był jej ciekawym.

Jednego wieczora wszakże Jasiek, który ją przynosił. przerwał panu czytanie oznajmieniem. że z gazetą przywiózł służący gruby list z dużą pieczęcią.

Pan Walenty niezmiernie rzadko listy odbierał. Kazał więc go sobie podać. W istocie pismo zwrócić mogło nawet Jasia uwagę: była to ogromna koperta. bardzo starannie zaadresowana i zamknięta niepospolitych rozmiarów pieczęcią herbowną. Adres był po francuzku. bardzo dokładny. wyraźny. bez omyłki.

Pan Orbeka długo papier obracał w ręku. nim się go otworzyć ośmielił, wiedział on z doświadczenia, niestety, jak rzadko list zwiastuje dobrą nowinę. jak często złą przynosi; był przekonany, że zła czy dobra wieść, zawsze mu trochę spokoju duszy odbierze. Ale

wreszcie potrzeba było zebrać się na odwagę. siwy Jasiek stał ze świecą i czekał, patrząc w oczy, i drugi towarzysz samotności pana Walentego. pocziwy jego przyjaciół. pudel Nero, siedział także przed nim, badawczo patrząc na pana, jakby strapienie jakieś dla niego przeczuwał

Pan Walenty nie śpiesząc się oddał pieczętę, wydobyl sążnisty list. i. rzuciwszy. na podpis okiem. przebiegl go wejrzeniem jednym. potem stanął jak wryty i nie dając po sobie znaku ani smutku. ani radości, stał jednak za długo, jak na całkiem chłodnego i przytomnego człowieka.

Jasiek. który świecił. patrzył na pana i w końcu się ulął tej jego skamieniałości. Nero począł łapą drapać go po nodze. jakby usiłował przebudzić. Walenty stał. myślał. w końcu zwolna list złożył na stoliku. skinął na Jaska. aby sobie odszedł, a sam po pokoju przechadzać się zaczął.

Nienmiejac czytać. ciekawy stary sługa nie mógł tajemnicy pańskiej podpatrzeć. zrozumiał wszakże łatwo. iż się coś ważnego stać musiało. Dano więc czerzę, poszedł do niej obyczajem swym gospodarz. siadł, ale roztargniony nic nie wziął do ust i wstał żeby znów chodząc po pokoju. prawie do białego dnia.

Nero, który znał pana doskonale. zrazu mu w przechadzkach tych towarzyszył. jakby okazując współczucie i pewien niepokoju. potem w ostatku poszedł na swe zwykłe miejsce przed kominem i kilka razy głęboko westchnawszy, usnął.

Nad ranem Jasiek znalazł pana ubranym wcześniej niż zwykle, i na nogach, w głębokim zamysleniu.

a gdy przyniósł kawę i chciał odejść, pan Walenty go zatrzymał.

— Słuchaj-no, mój Janie. — rzekł, — będę musiał na czas jakiś wyjechać do Lwowa i do Warszawy, a tu u nas podobno do podróży nic niema. Wątpię, by która bryczka wytrzymała; konie stare... no, i Hrysza... jak go tu brać w drogę, kiedy niedowodzi? a prawdę rzekłszy, konie jego prowadzą. a nie on je.

— A już to wszystko prawda. — odparł Jasiek, — bośmy się bardzo doma zasiedzieli. Ale chyba z przeproszeniem pana, że o to pytać się ośmielam, nie ma tam w tem nic złego?

Pan Walenty łagodnie się uśmiechnął.

— Mój kochany Janie, — rzekł, — nie młody jesteś: wiesz to dobrze, że człowiek nigdy wyrokować nie może, gdy mu się co stanie, — czy to na dobre, czy na złe wyjdzie, i któż wie? Złe często się obraca w najlepsze, dobre w nieszczęście. Ale po ludzku biorąc, to co mię spotka, złem nie jest. Wolałbym może, aby się to nie stało, ale przeznaczonem widać było. Gdybym ci mógł powiedzieć o co idzie, byłbyś może bardzo nieszczęśliwiony, — a przecież:.

Jasiek złapał pana za nogi, a Nero, widząc go tak pieszczotliwie przystępującego doń, z łapami skoczył na kolana, bo był bardzo zazdrośny.

— A, mój ojczel! jeżeli tak, — zawołał Jaś, — powiedzcież mi, co to jest?...

— Niepotrzebne ci to. — rzekł pan Walenty, — ależ wkrótce dla nikogo tajemnicą nie będzie. Rzecz bardzo prosta: mój dziad miał brata we Lwowie. pochodzimy bowiem z rodziny Ormiańskiej, ten brat miał

syna. który mi wypadął stryjem. Był to bardzo mą-  
jety kupiec, bezdzietny, do któregoś się dlatego ni-  
gdy nie zgłaszał. aby ludzie nie posądzali o chciwość.  
Stryj umarł. zostawił parę milionów majątku. kamie-  
nicę we Lwowie i w Warszawie i wszystko to mi za-  
pisał. Cóż ty na to?

Jasiek, którego pan Walenty posądział, że plasnie  
w ręce, że się gorączkowo rozraduje. stanął ze zwie-  
szoną głową.

— Może to być dla was wielkie szczęście, rzekł  
chłodno i powoli — ale. ja stary, ja głupi. to tam jakos  
inaczej rzeczy biorę. Było ci mój drogi panie dobrze  
i spokojnie. nślałeś sobie gniazdo jakies chciał, nikt ci  
nie przeszkadzał, życie płynęło jak u Boga za piecem,  
chleba nie brakło, na wygodach nczciwych nie zbywa-  
ło, choć zbytkn nie mieliśmy. Cóż ci przybędzie z te-  
go milionowego majątku? oto może zazdrość i natrę-  
ctwo ludzi. fałszywi pochlebcy i podstępni przyjaciele.  
nad których ja i Nero, cośmy ci służyli dotąd pewnie  
lepsi jesteśmy. Więc bądź co bądź. daj wam Boże  
szczęście przy nowej doli, ale ona już tém. czém te  
spokojne dni wasze były. nie będzie.

Pan Walenty wstał i nściskał go.

— O! masz zupełną słuszność, zawołał żywo — wy-  
powiedziałaś tylko to co ja od wczoraj myślałem. Ser-  
ce mi bije, wyrывa się, owłada mną już ta gorączka  
złota i siły. czuję się zmienionym, innym, gorszym.  
Kto wie czy pohamować się potrafię, czy nżyć będę  
umiał tego majątkn. czy?...

Zakrył sobie oczy. a Nero widząc niezwycajne  
wzruszenie pana. aż skomleć począł, stary zaś Jasiek.

któremu o lzy nie było trudno. po prostu się roz-  
płakał. —

— Jest-to próba, której poddać mnie podobają się  
Bogn, rzekł pan Walenty, dobędę z siebie odwagi i po-  
staram się jej podolać. Proszę cię mój stary. wiadomo-  
ść zachowaj dla siebie.

Jasiek ścisnąwszy pana w milczeniu za kolana.  
odszedł, a Orbeka zadumany wziął. niewiedząc co ro-  
bić, gazetę ze stolika. i pierwszą rzeczą na którą pa-  
dły oczy jego, była następująca wiadomość:

„Piszą nam ze Lwowa. że bogaty kupiec tamtej-  
szy. ze znamienitej i starożytniej familii Ormiańskiej  
Orbeków pochodzący, Rajca i Sekretarz J. K. M. pan  
Piotr Orbeka. zmarł dnia 5 maja. po krótkiej chorobie,  
mając lat wieku 65. Majętności swe w kapitałach go-  
towych, summach na dobrach zahypotekowanych.  
różnych kosztownościach we Lwowie przy ulicy  
Syxtuskiej, jako też w Warszawie na Podwalu. nie  
mając bliższej rodziny przekazał wszystkie testamen-  
tem synowcowi swemu. w okolicach Siedlec mieszka-  
jącemu. w dobrach dziedzicznych Krzywosielce. Pan  
Walenty Orbeka, spadkobierca nieboszczyka. znanym  
był i u nas w Warszawie przed kilkunastu laty, jako  
jedna z ozdób salonów stolicy i człowiek nauki nielu-  
jący, dla których swobodniejszego uprawnienia. całkiem  
się w wiejskiem nstroniu od niejakiego czasu, za-  
kopał.“

Korespondencya ta była przykrą panu Walente-  
mu. przekonywała go bowiem, że cały kraj już ma na  
niego zwrócone oczy. że mu naprowadzi natrętów bez  
miary. i że jego dni samotne bezpowrotnie się skoń-  
czyły.

Jakoż nie dalej, jak z południa tegoż samego dnia, landara podkomorzego Bukowieckiego już się zatoczyła przed ganek Krzywosielecki, a otyły sąsiad wydobyty z niej z pomocą bratanka i sługi, wpadł z głośnem, gotowem powinszowaniem do skromnego domku, wołając:

— A niechże tego szczęśliwego człowieka nściskam... a witajże nam Krezusie nasz! Niechże przypatrzę się, jakie to na waszeci uczyniło wrażenie. bo mnie — szelma jestem (było to przysłowie podkomorzego) podobna wiadomość nabawiłaby niezawodnie appopleksyi.

Na pann Walentym prócz smutku i zakłopotania nie nie widać było, podkomorzy też spostrzegłszy, iż do innego tonu nastroić się wypadało. wysapawszy się po wyściskaniu gospodarza. spoważniał równie i wziął się do przywodzenia zdań o znikomosci rzeczy światowych...

Podkomorzy bowiem, acz całe życie pędził w hucznem gronie licznej rodziny i przyjaciół, rojących się około córek na wydaniu, dwóch kuzynek majątnych, bawiących w jego domu i rezydentki jednej nadzwyczaj pięknej, acz nie poważnej — choć mało czytał i zdawał się nie mieć wiele czasu do myślenia, był bardzo rozsądny i praktyczny. Wiedział on, jak z kim począć, co komu powiedzieć, jak się do humoru zastosować i ująć sobie człowieka.

— Mój mości dobrodzieju, rzekł po chwili przerywanej rozmowy. waćpan dobrodzieju lepiej to pewnie wiesz odemnie, że jak są gratiae status (łaski stan) tak są i onera status (ciężary stanu)... Majątek znaczny wkłada też wielkie obowiązki i pu-



bliczne, mości dobrodziej u i społeczne, to darmo. Nie na to się go ma, żeby się jadło i piło. a wyżej głowę dało, lecz aby się służyło nim i krajowi i braciom. Więc też darmo, nie usiedzisz asindziej, szelma jestem, w Krzywosielcach nad swemi książkami, musisz sobie i kółko pewne. ba i towarzyszkę życia sociam vitae dobrać. i...

Pan Walenty głowę spuścił.

— Na to tylko odpowiem panu podkomorzemu, rzekł, iż mi pono z nowemi obowiązkami i nowem życiem tak już dobrze i spokojnie nie będzie, jak mi tu przez te lata w Krzywosielcach było.

Westchnął.

— A to darmo! w pół żartobliwie dodał Bukowiecki, accipes onus pro peccatis, (weźmij ten ciężar za grzechy). Ej! ej! szelma jestem, cieszyłby się nie jeden, gdyby na niego to brzemie spadło!

Do niczego tak ludzie nie lgną jak do szczęścia, niech się ono zjawi gdziekolwiek. lecą jak na ogień; gdyby tak do niedoli, gdyby tak ze współczuciem i pomocą! Niestety...

Jeszcze podkomorzy nie wygadał się, gdy trzask z bata, zajechał pan Łowczy Wirczyński, długa chuda figura, śmiejąca się zawsze i uchodząca za dowcipną, ongi członek palestry lubelskiej w sąsiedztwie pospolicie zwany Wygą.

Od rogu począł bić pokłony i sypać powinszowania zabawne. Mimowoli podkomorzy zobaczywszy go ramionami jakoś ruszył, nie lubił się bowiem, i rzekł w duchu. — Jest już, jak na lep... a Łowczy też pomyślał.

— Już go tu przyniosło, sądzi pewnie, że go dla której córki schwyci...

— To tylko jedno asindziejowi powiem, odezwał się Łowczy. że nie ślepa fatalitas jak mniemali poga- nie rządzi światem, ale rozumna Opatrzność. i że quidquid fit, staje się zasłużenie. Nie mogła for- tuna lepiej paść jak na naszego Sokratesa Krzywosie- leckiego. Zatem gaudeamus i Te Deum lau- damus.

Niedokończył jeszcze, bo mu się na daleko dłuż- szą perorę zbierało. gdy cichuteńko wsunął się Sędzia Dostałowicz. człek małomówny. żółty zazdrośny. po- dejrzliwy. Obeszło go to także, iż znalazł już podko- morzego i Łowczego, bo każdy acz sam jechał, brzy- dził się innemi dworakami złota, wszakże pokrywszy w sobie to wrażenie uścisnął rękę gospodarza z wiel- kiem uczuciem, i zdobył się na kilka słów powinzo- wania.

Z sędzią Dostałowiczem przybył nawet ksiądz Porfiry. który u niego gościł. aby panu Walentemu złożyć życzenia. a może data occasione (przy po- danej zrzeczności) i konwent przypomnieć.

Biedny księżyna winszując rumienił się sam. że należał do tego grona ludzi. co złotemu cielcowi przy- szli bić pokłony. Najprzykrzejszego wrażenia dozna- wał pan Walenty, czuł on w duszy, że te grzeczności, te pochlebstwa i czułości nie dla niego były, ale wciąż siły którą posiadał, potęgi tej grosza. tak niezłamanej i strasznej w rękach złych i słabych ludzi. Przerażało go to dla samego siebie, co chwila bowiem jaśniej po- strzegał, jak ciężko mu będzie zadaniu życia podołać.

W takim dniu. już dla samego obyczaju krajowe-

go na sucho się obejść nie mogło. choć pan Walenty nie cierpiał pijatyk i częstowania. Musiał wszakże kazać podać parę butelek starego węgrzyna. i parę flasz niemniej starego miodu.

Wieczór był cudny, majowy. goście zasiedli w ganku, czas schodził szybko na gawędzie ożywionej. byliby może przydłużej zabawili. gdyby w końcu milczące usposobienie gospodarza. nie zniewoliło ich do odjazdu. Czuli, ile ten człowiek miał do myślenia, może do walczenia z sobą. dyskrecya kazała poszanować ten poważny smutek, acz dla pospolitych ludzi niezrozumiały.— Podkomorzy. zaprosiwszy wszystkich na gospodarski obiadek pozajutro. ruszył się pierwszy. za nim inni. i choć pan Walenty zapraszał gościnnie na wieczerzę, nikt nie pozostał.

Po wyjeździe gości. zmęczony Orbeka wyszedł na ganek ku ogrodowi. ze swoim pocziwym Neronem.

Turkot bryczek niknął w oddali, cisza wiosennej nocy, stara znajoma. otaczała go znown. Przed nim obłany światłem srebrzystem księżycą, rozciągał się ów ogród stary, szumiący niezrozumiałą modlitwą, po którym lat tyle, dni tyle, wieczorów tyle samotnych przechodził. nie domyślając się nawet, by go co kiedy z tego zielonego kąta wyrwać znów na świat miało.

Teraz więcej niż kiedykolwiek czuł on wartość tych dni upłynionych, tej swobody niezakłóconej niczem, tej złotej tęsknoty pustelniczej. na której skrzydłach dusza leci po nad światy!

Ze łzami na oczach prawie powolnym krokiem zszedł do swojego ogrodu. Tu wszystko doń znajomym jakimś. zrozumiałym mówiło głosem; i śpiew słowika i drzew szumy dalekie szemranie wody obraca-

jącej młyn i piosenki pastusze i klekotanie bocianów układających się do snu. zlewały się w jakieś istne Oratorium ziemi pełne mistycznych dźwięków. Tu i jego dusza umiała się zlać i połączyć z chórem powszechnym stworzenia do zgodnej pieśni ku Bogu i niebiosom. Wieleż to niezabytych chwil ciężkich tu przeżył, ukołyszany tą harmonią powszechną do spokoju, jakiego świat dać nie może?

Pamiętał on te godziny walki, gdy mu nieposłuszną dusza wspomnieniami oszalała, rwała się z gniazda w świat znowu. gdy wszystko czem życie nami, widmami jasnymi przesuwalo się przed nim. wabiąc ku sobie... gdy znękany, zbolący, opadał na siłach i zostawał wrosły do tego kąta ziemi, który mu tylko szare dni ciszy miał do dania.

A teraz, gdy wrota na oścież stały otworem do wyjścia, droga złotogłowy usłana, jak straszno przestąpić było ten próg wyżłobiony w dniach dumań, poza którym wrzał bój ze światem, z sobą. z ludźmi, namiętnościami. fałszem lekkomyślnością.

Pan Walenty raz już przebiegł był po żarzących węglach innego żywota; młody, pełen ufności, a raczej niedoświadczenia, na dnie tych zachwytych młodzieńczych znalazł on gorzkie męty zawodów. Serce ludzkie. ten drogi kamień tak jasny, roztopiło się w jego dłoni jak lodu kawałek na trochę wody mętnej. w którą gorzka jego łza spłynęła.

Spróbował on świata, ale się nie zużył, w piersi zostały mu posypane popiołami pragnienia gorące, czuł się niepewnym. słabym, wiedział z pewnością prawie, że głowa mu się zawróci, że będzie nieszczęśliwym.

Ale życie, ach to życie, nawet w boleściach ma uroków tyle!

I rumienił się sam przed sobą biedny Orbeka, widząc, że tym wiatrem co go na fale popycha, była garść złota szyderczo przez los nań rzucona.

Było coś szatańskiego w tej próbie, na jaką został wystawiony, szczęśliwy, spokojny, lub uspokojony przynajmniej odrętwiały, zastygły... czuł się porwanym siłą fatalną z tego portu na morze.

Kilka razy powtórzył sobie:—Dlaczegożbym nie miał się wyrzec wszystkiego i tak jak jestem pozostać?

Ale słabość ludzka jest najstraszniejszą z sofistek; ona mu odpowiedziała.

— Dlaczegoż, jeżeli ci to złoto cięży. nie masz go użyć i rozporządzić niem lepiej niżby potrafili inni? Rozrzuć je, rozdaj, rozsławaj rozumnie.

Łudził się biedny.

Wśród tych myśli upływał późny wieczór. noc już była; ogród obłany rosą, w której perlach gdzie-niegdzie księżyc połyskiwał. pełen woni, cienia i śpiewów ptaszęcych, zdawał mu się rajem, z którego miał być wygnany.

Przypominał sobie przechadzki swe, marzenia i muzykę i malarstwo i książki.

— A to są jedyne przyjemności życia — rzekł, po których nie ma przesytn, nie zostają męty, wiecznie się pije i pragnie. a dusza wychodzi czystą. coraz przejrzystsza, coraz silniejsza, jakby przysposobioną do lepszego świata.

Zerwał gałąź bzu, która go oblała chłodnemi łzy nocy i deszczem zwiedłych kwiatuszków. i powłókł się do swojego klawikordu. Leżała na nim ulubiona sona-

ta Beethowena, jedna z tych jego ostatnich, natchnionych walką niewysłowioną uczuć i myśli w chaotycznym boju, boleścią rzucających się ku Bogu. Było w niej całe życie człowieka. Allegro jego młodości, świeże i wonne. Largo rozkochane. Menuet uczt i wesela, potem jakby na szyderstwo urywek pogrzebowego marsza i finał pełen marzeń i tęsknot starości. choć pełen jeszcze niedogorzałego życia.

Dla Orbeki ta sonata była niemal własną jego historią. wyśpiewaną mu jaśniej, niż on sam wypowiedzieć ją umiał, usiadł i palce same pobiegły po klawiszach z tą niewysłowioną energią, jaką ma człowiek tylko w wybranych chwilach życia, czując się spotęgowanym, jakby czemś wyższem nad siebie, czemś od siebie samego lepszem.

A gdy skończył grać. postrzegł się dopiero, że po rozpalonej jego twarzy. strumieniem płynęły łzy gorące, łzy, jakich dawno nie ronił. Zlewał on niemi tę drogę którą miał przechodzić, która ciągnęła go a była dlań straszną. knsiła go i przerażała, wabiła i odstraszała razem.

Ale już stary człowiek wczorajszy. ustępował z jego piersi. nowemu nieznajomemu! O! bo upokarzająco słabym jest człowiek. nawet gdy zna tę nędzę swoją; zewnętrzne wpływy jak taranem rozbijają krnchy mur jego przekonai, wali się co bronić miało. płacze się nad ruiną, i ustępuje zwycięzcy.

Z przerażeniem postrzegł pan Walenty sam zmianę jaka w nim zaszła; nie był sobą. czując jeszcze. że nim być przestał. Marzył. pragnął. upojonym był i nieowładnął wolą swoją.

Te mary wszystkie. które dawniej nie śmiały

progu przestąpić i nikły przed jego zimną twarzą. teraz osmielone. uzuchwalone, szyderskie, siadały mu na piersiach i głowie naigrawały się spętanemu, wkładały nań więzy i wlokły.

Marzył a marzenie zabija, trnje i poi. Napróżno usiłował odpędzić widma, nie miał w sobie tej siły wczorajszej, która go przeciw nim zbroiła.

Wstał z załamaniem dłońmi od klawikordu. bładny, rozgorączkowany.

— Stało się. rzekł w sobie, a więc nowa życia próba. próba bez wiary. bez jutra, bez miłości: stypa ostatnia. pogrzeb spokojny i ciszy rozmodlonej. Pochłonie burza?... pochłonie. Cóż że jedno więcej zginie piasku ziarno ntopione w morzu?

A z ganku od ogrodu, śpiewały mu słowiki w bzach pieśń pożegnalną. i wiatr oblewał go wonią wiosenną lasów. a księżyc odziewał krajobraz jakby srebrnym całunem.

Podkomorzy Bukowiecki jeżeli chciał wystąpić, to—szelma jestem—potrafił. Bawiono się tam często, bo młodych dziewcząt dwór był pełen, to też zabawa. goście. uczta. tany, kuligi, świąteczne skrzypki, imieniny, urodziny, anniwersarze, majówki, obżynki. obśiewki. nigdzie tak nie bywały świetne. tak wesołe, i udatne jak tutaj. Dwór miał już tę tradycją wesołej gospody. że się w nim nikt nie zląkł ani przed obiadem przybywających niespodzianie dziesięcin osób, ani najeżdżającego kuligu. Sama jejmość. podkomorzy, panny miały tak urządzić wszystko. że się nigdy nie postrzegło najmniejszego zakłopotania.

A gdy już się miano czas na przyjęcie przygotować, to wystąpiono co się zowie. Podkomorzy miał

swoich dostarczycieli, ryby w koszach, zwierzyinę pewną, przysmaków zapasy. a nawet muzykę na zawołanie.

Kapela to była niewykwintna: pierwszy skrzypek, na jedno oko ślepy żydek, ale artysta, choćby go do Warszawy posłać, to by się nie powstydział, klarncistów dwóch również starozakonnych, z tych jeden fenomenalny, basetla huczna i namiętna — w dodatku bębenek. Więcej trudno na wsi wymagać. Mieli to do siebie wirtuozi. że często po osiemnaście godzin grając z rzędu, spali wszyscy, a dlatego swoje robili, ot tak już mechanicznie, z namiętności. Tylko pierwszy skrzypek nie sypiał, ale za to pijany był zawsze, co mu ognia dodawało. Nikt tak mazur nie potrafił zagrać jak on, same nogi się rwały, pedagryści wybrykiwali, jakby skrzypce były owemi — co to wiecie — zaczarowanemi.

Aronka też często młodzież całowała w entuzjazyzmach, i kochały go panny. mimo że jednego oka mu brakło i nie ładnie miał je zasunięte włosami i jarmułką.

Po naradzie z podkomorzyną, która ani tuszą, ani humorem nie ustępowała mężowi, naradzie tak tajemnej, że żadna z pańien nawet przez dziurkę od klucza nie podsłuchać nie mogła, bo rozmowa toczyła się po cichuteczku — obiad na który zaproszonym został Orbeka. postanowiono uczynić bardzo wystawnym.

Matka tę tylko uwagę zrobiła mimochodem córkom, że mogłyby na ten dzień wziąć liliowe z różowem sukienki, świeżo sprowadzone z Warszawy. Panny różnie to sobie tłómaczyły i uważały za znak wielkich. wielkich jakichś zamysłów.



Po szczupaka, którego w koszu zabrakło. posłano umyślnie biedką do Kodnia, z kąd i mięso świeże przyjechać miało. Przygotowania były takich rozmiarów jak na imieniny. kielich nawet zwany *Philosophorum*, z powodu, że na nim Sokrates, Plato i Arystoteles byli wykonterfektowani, dobyty został z pudełka safianowego, w którym zwykle spoczywał.

Wszystko się jakoś nadspodziewanie składało. Lajzorek arendarz o niczem szczęśliwie na tę ucztę nie wiedząc, przywiózł ogromnego węgorza, na którego widok dnsza gosposi się rozradowała. postanowiła go dać z rodzenkami i sosem podpalanym, a kucharz przyrządzał w ten sposób delicyjonalnie. Około południa w wigilią. znown nad wszelkie spodziewanie, przywiózł leśniczy Sapieżyński. któremu pozwalano kosić łąkę na granicy, ogromnego rogacza. Comber i pieczeń z rożna ze śmietaną, drugi półmisek przewyborny, gospodyni chodziła podspiewując. Już mniej się troszczono o szczupaka, który miał być wedle programu dany z szafranem, ale choćby go i zabrakło. można się było obejść bez niego. Słowem jednem sposobilo się do wieczora wszystko jak z płatka, gwiazdy pomysłne świeciły tej sąsiedzkiej uczcie wyraźnie. Ale często los sobie tak drwi, mówiąc po prostu, z człowieka dopnści go prawie do źródła spragnionego. a dopiero za kołnierz uchwyci i—wara!

Podkomorzy siedział w ganku po obiedzie i podspiewywał palcami bębniąc po stoliczku, na którym kawę mu podać miano, tę kawę wiejską z kożuszkim prawdziwym, do migdałami lukrowanych sucharków. kawę naszą. jakiej nikt nigdy nie pił zagranicą.

W tem tuman pyłu zwrócił jego uwagę. Na wsi

w długie dni samotne, tuman pyłu na grobli zdaleka ujrzany. stanowi zagadkę, nad której rozwiązaniem czasem cały dwór domysłność swą wysila. Wychodzą wszyscy na ganek. pan, pani. dzieci, służby. czeladź z folwarku. chłopcy ze stajni, każdy przypatruje się, domysła i usiłuje odgadnąć; pył przybliża, widać konie. potem powóz, ale często bywa to tylko zwodnicze owiec stado...

Tym razem podkomorzy był sam; wstał. rękę przyłożył do czoła. oczy zmrużył i zawołał: — Szelma jestem, goście! Ale goście! dodał po chwili. I zawołał jejmości.

Jejmość wyszła. popatrzyła i uderzyła w rączki pulchne. — Powóz, żółty nawet, ale któż to może być?

Wnet i cały dom był w ruchu, tymczasem zbliżała się ta zagadka coraz bardziej, pokazała się karetka bombiasta, żółte konie pocztowe, tłumoków przed. za i na powozie co niemiara.

— Szelma jestem, baby! zawołał niegrzecznie podkomorzy. by rupieci wiele, ale kto?

P... odgadywać, napróżno; w istocie trudno się by' gościa domysleć, który przybywał za w... rogaczem. ale daleko mniej od nich powca

też w każdej rodzinie są krewni mn... możej dalebo gubieni po świecie. często tacy. których nie... by się odszukiwać chciało.

Jedną z takich kuzynek. była siostrzenica samej... sławna z wdzięków i załotności. niegdyś panna... z Wychołowiczów baronowa von Zughau. potem podczaszyna. Braclawska Sierocińska, dziś podwójna rozwódka. niewiasta wielką rolę grająca na

warszawskim bruku. Była to istota, jak ntrzymywa-  
no, czarnjąca, ale nad wszelki wyraz płocha i zalotna;  
miłosnych jej intryg nikt zliczyć nie miał. sięgały one  
wszystkich kraju prowincyj, zagranicy i przeróżnych  
sfer społecznych. Kochało się w niej wojsko. dachow-  
wieństwo, dygnitarze starzy, młodzi, panowie, poeci.  
artysci. bankierowie. Pani Palmira (pospoliciej zwa-  
na Mirą), mimo doznanych tylu przygód, które w sze-  
snastym roku życia rozpoczęły się, nie miała nad lat  
dwadzieścia i pięć; była w kwiecie młodości, wdzię-  
ków, w rozkwicie dowcipu i umiejętności bałamuce-  
nia, którą podniosła do tak wysokiego stopnia, iż szła  
o zakłady, że każdemu komu zechce zawrócić głowę.  
Bawiło ją to niezmiernie, gdy przywiodła mężczyznę  
do szału i zapamiętania, a prawdę rzekłszy, to tylko  
jedno może stanowiło cały życia jej cel i interes.

Rozwódka, swobodna, dosyć majątna, przynaj-  
mniej tak z życia jej sądzić się godziło. trawiła żywot  
w sposób najdziwaczniejszy, widywano ją z kolei to  
u wód, to w stolicy, to na wsi, to najdalsze wzdzie-  
biorącą podróże, a wszędzie, gdziekolwiek się  
ciągnął za nią szereg wielbicieli. Bez tych się  
nie mogła, gdy armia ta ją opuściła natych-  
krutowała sobie nową, a przychodziło jej to z  
większą łatwością. Zresztą równie łatwo potem  
zbywała się śmiechem i obojętnością, lub szyderstwem  
natrętów.

Mira była maleńkiego wzrostu. (choć na wy-  
kich korkach nosiła trzewiczki), nader zręczną, ok-  
glchna, biała i różowa jak cinkierek; włosy blond, ja-  
sne nieco, na czerwoną barwę zarywające, twarzyczka  
dziecinna, okrągła, z dołkami od śmiechów, zębki

jak perełki. rączki jak u dzieciny, nóżka do śmieszności malutka. Ale to rysopis paszportowy, który nie jeszcze nie mówi; nie dają się opisać oczki jej, figlarne wejrzenie. to tęskne i łzawe, to uśmiechnięte i puste, zmienny wyraz lica, po którym jak w dniu wiosennym migały chmury i pogody. przelatowały łzy i uśmiechy, groźby i obietnice. Nic na świecie ruchawszego nad tę twarz widzieć nie było można. często gdy spuściła główkę smutna, w chwili podnosiła ją już jakby czarodziejsko zmienioną na roztrzepaną. Śmiech i płacz w jej duszy zdawały się trzymać za ręce. Czasem zła była jak szatanik, niekiedy jak anioł dobra i łagodna, łzawa, litościwa.

Fantazya rządziła jej sercem i życiem, gdy czego zapragnęła gotową była na największe ofiary dla osiągnięcia celu, a w chwilę potem łzami okupiony skarb rzuciła na drodze i deptała nóżkami. Tak postępowała z uczuciami, z ludźmi, ze wszystkim, co się w jej rączki białe dostało.

Z wadami temi, niestety! Mira była zachwycającą, można się było do niej przywiązać, oszaleć dla niej i umrzeć. mówiono też o kilku co życiem przypłacał miłość, ale ona wzdychała tylko nad ich losem, nie się nie myśląc odmienić ni poprawić. Zdaje się, iżby to było i zapóźno i napróżno.

Pani podkomorzyna od bardzo już dawna nie widziała kuzynki. a nie życzyła sobie wcale jej odwiedzin, bo naganiała głośno postępowanie i nie chciała nikomu dać złego przykładu, który tak jest zaraźliwy. Dwa rozwody i kilkanaście intryg czyniły ją dla większych prostaczków, — kobietą przerażającą. Można więc sobie wystawić zdumienie, nieukontowanie, za-

kłopotanie gospodarstwa, gdy Mira wyskoczywszy z powozu jak ptaszek, ze śmiechem i łzami, przypomniała się im nagle.

Państwo podkomorstwo stali oboje w niemem osłupieniu, on sam szczególnie ze względu na obiad jutrzejszy, zaproszonych gości i Orbekę był zafrasowany.

Piękna pani łatwo dostrzegła po twarzach, iż ją tu nie z wielką radością witano, ale to było dla niej zadanie do przewyciężenia, nic więcej. Ona tak umiała sobie zyskiwać serce, iż nie zwątpiła na chwilę, że najdalej do wieczora wszystkich zbałamuci i głowy im pozawraca.

Szczebiocąc, podskakując, rozczulając się wspomnieniami rodzinnymi, Mira przylgnęła naprzód do podkomorzego i w pół godziny go udobruchała, potem nieznacznie zwróciła się do jejmości. którą pochwyciła za serce płacząc nad wspomnieniem matki, babki i rodziny. Naostatek pochwyciła panny i pobiegła z nimi trzpiocąc się do ogrodu. jak dziecko spragnione prostej wiejskiej rozrywki.

Gdy odeszła, podkomorstwo długo siedzieli naprzeciw siebie milczący.

— Szelma jestem, rzekł wreszcie podkomorzy wzdychając. mnsieli tam to biedne kobiecisko ogadać niesłusznie, ona mi się bardzo wydaje miłą i serdeczną.

— Właśnie, zem toż samo powiedzieć chciała. odezwała się podkomorzyna, nie może być, żeby nasza Mirka taką była, jak ją nam złe języki obmalowały.

— A powiadam asindzce, moja panno, dodał podkomorzy, że jest taka śliczna i taka przylepka.

— Może tam główka roztrzepana trochę — westchnęła jejmość. ale serce najlepsze. Uważałeś jego-  
mość, jak jej łzy płynęły na wspomnienie babki, domu.

— Ale, bo, to, szelma jestem, rzekł podkomorzy, ten świat, ten świat, potwarca. a ludzie na nim... Cóż dziwnego, że się niedoświadczonej kobiecie nie mogła nogą ośliznąć.

— Niech to tam Bóg sądzi! dodała pani.

— Ale nam, moja dobrodziejko, spadła jak z deszczem na jntrzejszy obiadek, i prawdziwie nie wiem. ciszej dorzucił podkomorzy. czy w porę czy nie ze wszystkim. Bo jakkolwiek miła, ale trzpiot kobiecina. roztrzepanica, dziecinna. a Orbeka. którego fetujemy, sensat, człęk surowy, to go będzie razilo.

— Czyż ona tam będzie z wami siedzieć, odezwiała się podkomorzyna. ją dziewczęta wezmą, bo ona, jak widzisz, dziecinna jeszcze, i bawić się lubi. Nie będzie mu się przecie naprzykrzać.

— Takbym to i ja miarkował! zakończył podkomorzy, a tymczasem. szelma jestem. jak ona, panny nasze i kuzynki i rezydentka siadą do stołu, to będzie wianek piękności, że go nie łatwo gdzieindziej zobaczyć. Tylko mi dziewczęta do twarzy postrój. a skromnie—moja jejmość—kto tam wie co być może!

— To mój jegomość, próżno już sobie i roisz, nasze dziewczęta ładne, świeże, młode. ale to ~~nie~~ trusie, a jak obok nich i Izabelka i Emilka wy ~~nie~~ pią.

— No, no! jejmość swoje, przerwał podkomorzy, albo ja to się napieram czy projektuję. trzeba wszakże zawsze konika na targ wyprowadzić, a kupić to dobrze, a nie, drugie dobrze.

Podkomorzyna nieznacznie ramionami ruszyła posłyszawszy już, jak obłok biały sunące dziewczęta z Mirą na przedzie, która się zarumieniona, zmęczona rzuciła na krzesło.

— A cóż to za śliczny ogród! co za rozkoszne powietrze, jaka miła okolica! jaka wiosna cudowna! wołała, tu chciałoby się żyć i umierać gdzieś w lesie, w chatce! (Chatka i las. *une chaumière et son coeur*, były wówczas w modzie. Marya Antonina budowała chałupki w Trianon, a u nas nie było pałacu bez dzikiej promenady i chaty słomą pokrytej, a zwierciadłami wewnątrz przystrojonej).

— Wię ciocia—dodała. ja tak dawno już nie byłam na wsi. że mi się teraz zdaje, jak gdybym do moich lat dziecinnych, po bolesnych snach, wróciła. Życie przeszłe wydaje mi się zmorą, marzeniem, ułudą. tak mi tu dobrze! tak mi tu na sercu pogodnie. Doprawdy, zamieszkam na wsi.

Podkomorzy się uśmiechnął.

— A gdziebyś tu asindzka tych wszystkich fioków i cacek dostała, do których przywykłaś?

— Zrzuciłabym suknie, cacka, nbrałabym się w prostą płócienkową, w słomiany pasterski kapelusik.

— Tak! tak, tylko kijek w rękę i baranka na różowej wstążeczce, a podobna byś była do tych pasterek co je na wachlarzach malują. rozśmiała się podkomor-

tymczasem z niebieskich oczów Miry fantazya, wspomnienie (może katar podróży) wycisnął łzę, która popłynęła po twarzy. szybko otarta i wnet osuszona uśmiechem. Podkomorstwo jednak widzieli tę perłę, spojrzeli po sobie i obce powiedzieli w duszy:



— Biedna to kobiecina.

Tą łzą do reszty ich zdobyła.

Cóż dopiero. gdy przy wieczerzy, unosić się zaczęła nad każdą potrawą (na co gospodyni była nieźmiernie czułą), gdy każdy półmisek wywoływał w niej nowe zachwyty. a po wieczerzy sama zaproponowała gry niewinne i poszła jak dziecię szaleć z pannami. w pierścionka, cztery kąty i ciuci babkę.

Gdy się rozchodzili spać. Mira już zawojowała wszystkich bez wyjątku, aż do sług i czeladzi, dla każdego mając uśmieszek, grzeczne słówko, podarek, pochlebstwo. wejrzenie.

— Czarownica. szelma jestem, rzekł podkomorzy biorąc pantofle, takiej kobiety jak żyje nie widziałem. Dziwić że się tu, iż głowy pozawracała. Vade retro! Satanas.

Każdy się łatwo domyśli, że od razu poprzyjaźniwszy się z pannami. Mira. która je zaprosiła do swojego pokoju, pod pozorem pokazania jakichś strojów. skorzystała z tej chwili. aby się ze światem nowym. otaczającym ją, obeznać. Wydobyła z kufrów czem panienki zająć i zabawić mogła. nakarmiła konfiturami, których się całe pudło znalazło, zachwyciła dowcipem i uprzejmością, a zarazem dowiedziała się od nich powoli wszystkiego czego potrzebowała. historii jutrzejszego obiadu, pana Orbeki, spadłej na niego sukcesyi, i t. d.

Bardzo nieznacznie, śmiejąc się i szydząc, wybadała panienki o panu Walentym, wyciągnawszy z nich co tylko o nim wiedziały. Nie zdawała się do tego zbytniej przywiązywać wagi, owszem żartowała sobie z dzikiego anachorety, z psa przyjaciela. ze starego



Jaska, z nocnych gorączek jego przy klawikorcie (które wszystkim były znane). Jednakże najmniejsza z tych drobnostek nie uszła jej ucha.

Gdy około północy panny rozbawione, wynosząc stosami prezenta kuzynki, wyszły do niej skacząc i śpiewając, piękna Mira znużona, złamana, bezsilna rzuciła się na łóżko, zamknęła oczy i kazała służącej się rozbierać, nie mogąc już ruszyć ani ręką ani nogą.

A gdy służąca odeszła, łzy się potoczyły z pięknych oczek na poduszkę, serce się jej ścisnęło jakoś, odegrawszy tę rolę pokornej kuzynki, zalecającej się krewnym, rolę, do której wcale nie była przywykła. Ona rozpieszczone dziecko, obsypywane hołdy, obwiane kadzidłami, teraz — zmuszoną była korzyć się, łasić, aby przejednać i uprosić pobłażanie.

Ale łezki te nie lały się długo; wprędce osuszyły je: nadzieja, marzenia, projekta, a przytem potrzeba było nie wypłakiwać oczek, aby je mieć jasne i wesołe na jutro

## ROZDZIAŁ II.

Dzień ten uroczysty nadszedł wreszcie. a u państwa podkomorstwa, jakkolwiek przyjmowanie gości było rzeczą zwyczajną. od rana niezmierny był ruch w domu. Przyczyniało się do tego po troszę i przybycie pięknej Miry, dla której też wystąpić nieco wypadło.

Sama jejmość. najmłodsza z pańien wydelegowana do departamentu kuchennego. rezydentka. która rządziła bielizną i srebrami, podkomorzy władający lochem i napojami. od ósmej byli czynni. Ludzie procesjonalnie snuli się. niosąc rozmaite aparata do sali jadalnej.

Piękna pani. wczoraj przybyła. nieukazała się rychło. zasnęła długo, potem ubierała się dość czasu, naostatek wymówiła się pisaniem jakichś listów aż do obiadu.

Panienkom tylko dozwolono było dobiegać do niej, aby się dowiadywać, czy czego nie potrzebowała.

Na wsi, pod owe czasy, obiad nawet w te dnie nroczytsze, dawano dosyć wcześnie. około dwunastej, kilku już sąsiadów przybyło, w bawialnym pokoju ta- ca stała z wódką i przekąskami dla gości, aby im do obiadu czczość nie dokuczyła. Podkomorzyna o pół do jedenastej była już w wielkim stroju, turbanie na głowie i piórach. panny w sukienkach nowych.

Zaraz po dwunastej przyszła też i Mira. Gospodarstwo mocno się obawiali, ażeby strojem i wdziękiem córek ich nie pogasiła; — uradowali się prawie, gdy ją ujrzeli ubraną bardzo skromnie, ciemno, bez błyskotek.

Ale niestety, czarownica była jeszcze piękniejszą niż wczora. można ją było wziąć za młodziuchną panienczkę, tak wyglądała świeżo, tak miała minkę niewinną, skromną i potulną. Wśród osiemnasto i szesnastoletnich kuzynek, zdawała się młodszą ich siostrzyczką.

Prawie jednocześnie z nią wszedł na pokoje pan Walenty, na którego twarzy widać tylko było powiększenie, zakłopotanie, niecierpliwość prawie. Przywitawszy się, natychmiast pośpieszył ukryć się w kątku, jak najmniej chcąc drugich zajmować sobą i sam zajmować się drugimi.

Nie spojrzał nawet na kobiety, nie widział jak nieznacznie ciekawym zmierzyła go wzrokiem piękna rozwódka. Zdając się z twarzy go uczyć i badać — obawiając się wszakże, bo gry tej niepostrzeżono, nie odgadnięto, Mira udawała zajęcie czem innem, i grała wybornie rolę obojętnej.

Tymczasem goście się zjeżdżali, dom napełniał; twarto drzwi do sali jadalnej, pan Walenty jako so-

lenizant, zmuszony był podać rękę gospodyni, a los chciał, że go posadzono pomiędzy podkomorzyną a Mirą.

Mira była niesłychanie skromną, milczącą. prawie nieośmieloną. Mimowoli pan Walenty wzrok obrócił na nią i — już go od tej twarzyczki uroczej oderwać nie mógł. Wiedział on z prezentacyi nazwisko pani ale kto ona była, nie wiedział wcale. Uderzył go, wyraz dziewicy młody, pełen świeżości tej kobiety, widocznie nie do wiejskiego należącej świata.

Przy obiedzie niewiem od czego zawiązała się rozmowa. Mira poprowadziła ją tak zręcznie, że do najwyższego stopnia rozdrażniła ciekawość Walentego. Wiedziała, że lubił muzykę. pociągnęła go, okazując niepospolitą jej znajomość.

Ale rzuciwszy parę ziarenek, które miały się w sercu i myślach rozrastać, natychmiast umilkła. osłoniła się milczeniem i ze strategią najdoskonalszą. zdawała się cofać i bronić bliższej znajomości.

Orbeka był zdumiony, zmieszany, lecz pełen uszanowania. nie narzekał się zbyt często.

Rozmowa też pojedyncza stawiała się przy krążących kielichach niemożliwą. całe towarzystwo prowadziło szalony gwar. ów chór wesela. wśród którego krzyżowały się dowcipne wykrzykniki, zdrowia. zapytania głośne, odpowiedzi zabawne, żarty oklepane. ale zawsze do śmiechu pobudzające. Może z całego grona biesiadników stół otaczających, najmniej rozweselonym był p. Walenty i Mira. Humory ich na pozór przynajmniej zdawały się dziwnie zgodnemi.

Wypito zdrowie Orbeki, życząc mu szczęścia i pomyślności. Kieliszek Miry trącił o kielich sąsiada.

a oczy jej sypnęły mu ogniem i iskrami głęboko w duszę. Pan Walenty poczuł się jakby spętany i przybitym. Był zwyciężony bez walki. a wydawał się pod ciężarem tego szału i upojenia tak niezgrabnym. jak tylko wielkie uczucie lub namiętność czynić nas umie.

Jedna okoliczność dla wszystkich będąca tajemnicą, nawet dla Miry, przyczyniała się jeszcze do wrażenia. jakie ona na nim czyniła.

W życiu przeszłym biednego człowieka leżały na pobojuwisku krwawe pamiątki wielkiej, szalonej, okrutnie zawiedzionej miłości, która zwichnęła całą dolę Orbeki. Ta kobieta, której on obraz nosił na sercu do dziś dnia, była jakby rodzoną siostrą Miry. Nadzwyczajne podobieństwo. nie tylko twarzy, ale fizyognomii, uśmiechu, ruchu. głosu. przypominało męczennikowi dni zachwytu. dni nadziei. dni szczęścia... bardzo krótkiego.

Nikt w sąsiedztwie niewiedział nawet o tem. że p. Walenty był żonatym. był zdradzonym. i gdy mu rozwód wydarł żonę, postanowił mimo jej niewiary, dotrzymać swej przysięgi do śmierci.

W tej chwili to zjawiające mu się widmo ukochanej. odświeżone. odmłodzone. jakby oczyszczone z przeszłości, aż do szału go egzaltowało. Musiał całej siły i potęgi charakteru użyć, aby nie rzucić się pod nogi tego upiora; ale siedział roztargniony. jak na żarzących węglach. płonąc i bledniejąc na przemiany. modląc się, by obiad kończąc się co prędzej, uwolnił go od tej próby, której lękał się co chwila więcej.

Jak na przekorę, gdy kielichy poszły kolejną, zdrowie gospodarstwa, podkomorzego. podkomorzyny,

pięknej Miry, córek, kuzynek, gości każdego z osobna. kochajmy się, oby się nam dobrze działo. i t. d. i t. d. nie było końca wiwatom i siedzeniu. Niektórzy się powymykali, ale głównym osobom nie godziło się wstać od stołu. Wszyscy trochę podweseleni byli w tym humorze różowym, który ośmiela, brata, a nie zbyt czyni uważnym na to, co się w koło dzieje. Była to chwila obrana przez piękną sąsiadkę do przypuszczenia szturm na podbitego już tak człowieka. Zwróciła się ku pann Walentemu z uśmieszkiem i wejściem rozpajającym. Łzawem, a tak niewinnie śmiałem.

— A czy pan też możesz lubić takie gwarne towarzysztwa? spytała go po cichu; ja się przyznaję, że choć one są w obyczajach naszego kraju, znieść ich nie mogę. Nawet w stolicy żyjąc, bom długo przebywała zagranicą i w Warszawie. cichego szukam kątku do spojrzenia na świat. Niepowiem żebym go niepotrzebowała. tego świata, w którym jest ruch. życie. w którego głowach i sercach wre i gotuje się przyszłość. ale to dla mnie scena, której ja z łoża mojej przypatrywaćbym się tylko chciała.

Pana Walentego poił wzrok jej, upajał dźwięk głośn, zasłuchany uśmiechał się błogo, a gdy skończyła przez chwilę przysłuchiwać się zdawał jeszcze. Odpowiedź jego była niewyraźna. słowa plątały się w ustach, czuł że się jej wyda dziwnie pospolitym lub niewykształconym, ale miał do czynienia z niewiastą. która czytała w mężczyznach. jak w księgach otwartych. Zrozumiała ona, że wrażenie jakie czyniła, ośmielało go. — tryumfowała. więc się jej wydał lepiej

z tem pomieszczeniem, niżby się przedstawił z największym dowcipem.

— A! i pan nie lubisz gwaru! rzekła. — takim się domyślała wcześniej z tego co mi o nim mówiono.

— Czy to prawda? — dodała żywo, ale spuszczać oczy i głos zniżając, że pan wyjeżdżasz do Warszawy i Lwowa.

Tak jest, pani, bardzo wkrótce.

— Ja także nie myślę tu bawić długo. szepnęła niby nie umyślnie, a w istocie z głęboką rachubą — wracam do Warszawy. Wszak mogę mieć nadzieję, że mnie pan tam za dobrą znajomą uważać i odwiedzić zechcesz? Ja żyję samotnie, mało kto u mnie bywa, bawię się muzyką, książkami, mam kółko male i dobrane, nie wiążą mnie żadne obowiązki

— Jakto pani? przerwał niezręcznie, zdradzając się, Walenty, pani...

Podniosła Mira oczy śmiało na niego. i odgadłszy pytanie, odpowiedziała bardzo po prostu.

— Byłam zamężną, — ale nią nie jestem już. — Przecierpiałam wiele i pragnę zostać swobodną.

Orbeka nie umiał utaić radości, która mu twarz rozpromieniła. Mira przelotnem wejrzeniem. schwyła ją. ale zdawała się mieć oczy spuszczone i niewidzieć nic.

Jakkolwiek przywykła do zwycięstw łatwych do cudów — piękna pani dziwiła się jednak sama temu które widocznie odniosła w tej chwili — cos dla niej niewytłómaczonego w tem było. Rachowała na daleko mozolniejszy podbój, na opór. na walkę, — ten łatwy tryumf ją niepokoił, miałażby się zawiesić na człowieku?...

Wśród przerywanej rozmowy, na którą tylko baczne kobiet oko było zwrócone, runęły krzesła i ławy. podnieśli się wszyscy od stołu. Orbeka podał rękę gospodyni, towarzystwo z kieliszkami. ze śpiewem, procesyą, przeszło do bawialnego pokoju.

Ale tu było za gorąco, więc jedni pod lipy. drudzy w ganek, inni do ogrodu wynosić się zaczęli; towarzystwo dzieliło się, rozłamywało, grupowało, wedle powinowactw.

Podkomorzyna wszakże schwyciwszy głównego gościa; tego. o którego jej szło najbardziej. nie myślała go puścić tak łatwo. Miała ona swe projekta. i na uwięzi trzymała biednego rozmowę; szczęściem nieopodal siedząca Mira mówiła dość daleko więcej zajmującym wejrzeniem. które grało po wszystkich strunach dawno oniemiałych, w sercu nieszczęśliwej ofiary.

Podkomorzynie szło o to wielce, aby się jej córki popisały przecie przed znawcą z muzyką. której się uczyły od madame francuzki, umyślnie sprowadzonej dla nadania poloru ich wychowaniu. — Było to tajemnie przygotowane, Wanda miała sonatę Mozarta a Ewelinka waryacje Gelinka. Potrzeba było wszakże zręcznie tak jakoś naprowadzić rozmowę. aby panny niby mimowolnie i zmuszone siadły do wiedeńskiego klawikordu.

Stał on otwarty. a pan Walenty domyślał się dobrze co to znaczyło. Mówiono o różnych, przeróżnych przedmiotach. aż o muzyce, a Orbeka zdobył się sam na prośbę, aby panny zagrały, za co mu podkomorzyna wielce była wdzięczną. Siadła więc panna Wanda do sonaty, którą umiała doskonale, grała świetnie, chociaż jej wcale nie rozumiała.



Unosili się wszyscy, Mira najwięcej. w oczach jej szatańskich jakieś iskry przelatywały.

Waryacye Gelinka, w których były jak wówczas zwano krzyżowe sztuki. to jest przekładania rąk, prawej do basu. lewej na wyższe nuty. zrobiły furorę. Panna Ewelina wstała od klawikordu różowa jak piwonია, ale szczęśliwa, że to morze trudne przebrnęła i przyплыnęła do portu.

Z kolei panny zaczęły nalegać i prosić pana Walentego aby zagrał; nieszczęśliwy człowiek mający najwyższy wstręt do popisów. o mało nie uciekł z razu. ale Mira szepnęła mu słówko i zachwiał się.

— Cóż mnie mają obchodzić ci ludzie. rzekł sobie w duszy ośmielając się pan Walenty, zagram dla tego upiora dni mojej młodości. a czy mnie kto zrozumie czy nie, czy w kim drgnie serce. czy łzę wycisnę, czy śmiech wywołam obojętny. cóż mi to szkodzi?...

Wiedeński klawikord był wyborny, dusza rozmarzona, Orbeka stał. chwiał się. miękł, dał zaprowadzić do krzesła, zapomniał w końcu o tłumie co go otaczał.

W sali panowała cisza, z ganku tylko przez otwarte drzwi wiatr wiosenny przynosił obłamki mów i wykrzyki popijających miód stary i węgrzyna.

Mira sparta o stół siedziała w kątku na stronie. ale tak, że i on ją i ona jego widzieć mogła.

Twarz Walentego oblokła się nagle tak uroczystym wyrazem powagi. zachwytu, namaszczenia, że nawet płocha zalotnica uczuła się przejętą i wzruszoną. Widać po nim było, że w chwili kiedy miał dotknąć klawiszów. muzyka wewnątrz grała już hymn boleści w jego duszy; że przystępował do klawikordu tego, jak kapłan do poświęconej arfy.

Dla czego wybrał sonatę. Beethowena (re minor). tego sam pewnie nie wiedział, Beethoven był jego ulubieńcem. Zaledwie dotknął klawiszów, świat znikł. niewidział już nawet Miry, która go pożerała oczyma łzawemi. zapomniał gdzie się znajdował, kto go słuchał, szatan melodyi pochwycił go w ramiona i uniósł po nad ziemię, by potem cisnąć i rozbić go o nią.

Ma to do siebie dzieło geniuszu. że gdy je natchnienie wykonywa ogniscie, naówczas, jakkolwiek niezrozumiale, niejasne, staje się pojętnem dla wszystkich. mówi językiem który każdą duszą wstrząsa. Ta sama sonata nieudolnie wyczytana byłaby może wywołała uśmiechy. teraz, wycisnęła łzy, ruszyła sercami. zrodziła niepokój który maluje...

Walenty grał zapamiętałe. gra jego przyciągnęła tłumy; stali w milczeniu. podziwие. niepokojąc się, gdzie ich ten człowiek z sobą prowadzi. czując, że lecą w światy w których niebywali.

Mira skryła twarz za firankę. płakała. była skruszoną, poruszoną, czuła się zmalala i bezsilną.

Przed chwilą jeszcze władała tym człowiekiem. teraz on porwał jej duszę i rzucił pod nogi i deptać się ją zdawał.

Gdy Orbeka skończył nareszcie i obejrzał się po otaczających, którzy chwilę stali milczący pod wrażeniem gry jego, nim hurmem klaskać poczęli; zrobiło mu się wstydlіwie, boleśnie, jak gdyby przed obcemi ludźmi obnażył duszę, wygadał jej tajemnicę, wypowiedział się ze wszystkich życia boleści.

Był upokorzony. Wśród powinszowań. Mira zbliżyła się i ścisnąwszy mu rękę. powiedziała tylko: — Panie, jam płakała.

To słowo zostało w jego sercu.

Powoli znowu goście się rozchodząc poczęli na swe miejsca. ale ta muzyka jakąś powagą oblokła najweselszych. jakby odgłos dzwonu od kościoła. Walenty usunął się do kątki, miał myśl wyjechać zaraz. brakło mu siły; patrzył na Mirę... Któż wie, mówił sobie w duszy, może jej nigdy nie zobaczę, rozum każe nie szukać, ból stary radzi nuikać. wiek nie do marnen; cierpiałem dosyć, czemużbym dłużej nie miał popatrzeć na nią?

I siedział jak wryty. prowadząc roztarguioną rozmowę.

Nie wiedział, że gdyby był najszczerzej pragnął się wysunąć i dostać do domu, było to niepodobieństwem, popojono ludzi, pozdejmowano kola gospodarz. nie wiadomo z jakich powodów. postanowił niewypuścić gościa do dnia białego. Dla innych było pobłażanie. dano się powymykać niektórym, na Orbekę pilne miano oko.

Pani domu tak znowu kierowała towarzystwem i ruchami w salonie. aby jedną z jej córek pan Walenty miał ciągle przed sobą. Wiedziano, że nie tańcuje i to tylko powstrzymało od tanów przed wieczerzą. Dziwnym trafem zdaleka się trzymająca Mira, jakos nieustannie wzrok Orbeki spotykała. Zdawała się go nuikać, on wstydził się natręctwa tego, a pomimo manewrów oczy ich, ledwie się odwróciwszy, schodziły co chwila. Grały jeszcze panny i śpiewały, mimo wymawiania się; chciano jeszcze zaprosić gościa; ale się nie dał. był złamany; na ostatek jednej z panien, może trochę złośliwie. przyszło na myśl napasć na Mirę. aby i ona zagrała. Załedwie myśl ta rzuconą została. po-

chwycili ją wszyscy. otoczyli oblegli. Walenty przyszedł z innemi; mężczyźni poklękali z kielichami, całowano w nogi. chciano ją gwałtem zanieść do klawikordu.

Mira zarumieniła się z początku. drgnęła jakby gniewem.

— Jakże pan może żądać tego po mnie — odezwała się rwąc rękawiczkę, — żebym ja grała po panu?

— Dlaczegoż nie? — odparł Walenty, — ja uie jestem artystą.

— Więc to ma być jakiś popis... jakieś wysługi? spytała.

— Nie, — zawołał Orbeka. — ja to rozumiem inaczej. Każdy z nas ma coś w duszy, do tej myśli swej dobiera muzykę, jaka ją najlepiej wyraża. Te panie śpiewały piosenki. świeże i melodyjne, jak ich młodość, ja wypowiedziałem burzę moją i zwątpienie.

— A cóż ja wam powiem nowego? — żywo przerwała Mira. — nie znajdujesz pan, że może nie chciała-bym wypowiadać się z tego co czuję? i że szczerbiąc czego nie czuję na śmiech się narażę?

— O moja duszo! — przerwała pani domu, — co wy tam filozofujecie! graj co umiesz i po wszystkim.

Mira także nim siadła zdawała się walczyć z sobą, ale w oczach jej rozżarzał się ogień. rzuciła podarte rękawiczki. chustkę. i śmiało się przysunęła do klawikordu. Cisza. wielka cisza rozlała się po salonie, a było jej potrzeba, aby posłyszeć pierwsze dźwięki tej sonaty Bethowena, którą nazwano „Nocą księżycową”.

Od pierwszego dotknięcia Walenty zadrgał, poznał mistrza: klawikord śpiewał pod palcami; muzyka nie zdawała się wykonywaną mozolnie, ale płynącą gdzieś z jakichś sfer niedościgłych.

Pospolitsi znawcy i słuchacze omylili się na prostopiecie tego szerokiego wstępu, posądzając Mirę o niewielką wprawę, ale po tym hymnie nastąpiła zagadka, którą się podobało komuś nazwać „kwiatem zawieszonym wśród dwóch przepasci“ zdeptawszy ten kwiat, Mira rzuciła się na część ostatnią pełną burz, piorunów, szaloną, szyderską, łzawą, namiętną i doskonale w istocie malującą stan jej duszy! Tu dopiero zajaśniał cały talent wirtuozki. Walenty, który z początku siedział osłupiały, wstał, zakrył rękami oczy, rozgorzał. Coś takiego doznał w duszy, niepokój jakiś tak nim rzucił, iż zrazu chciał uciekać, ledwie całą siłą rozwagi pohamował się i pozostał.

Nieopisane oklaski zatrzęsły całą salą, godzili się na to wszyscy, że gra Miry była najświetniejszą ze wszystkich, Walenty zbliżył się, pocałował ją w rękę i rzekł stłumionym głosem: — Byłbym szczęśliwym, gdybym kiedy w życiu tak potrafił myśleć mistrza wyrażać... Pani sama jesteś mistrzem.

Mira już zupełnie ochłonawszy ze wzruszenia, szczęśliwa była tylko z otrzymanego tryumfu. Struny uczucia przebrzmiały, dźwięczała miłość własna. Bukowiecka winszowała, ale kwaśno; panny unosiły się, ale posępne; po tych popisach posmutniało, gdy z drugiego pokoju, w sam czas, zabrzmiała kapela sprowadzona, a gospodarz, podawszy rękę matronie, zacnej pani sędzinej, rozpoczął polonezem.

Po tych uroczych dźwiękach, jak się mogła wy-

dać skrzypka ślepego Aronka i basetla z klarnetami niepowiemy. ale dla młodych uszów była muzyka ta miłszym zwiastunem niż pierwsza. Mira która była namiętną tanecznicą. zadrżała, rzuciła oczyma na posępną twarz Orbeki.

— Tańcujesz pan? - spytała.

— Nigdy!

— A! co za szkoda! a ja tak namiętnie, tak szalenie lubię taniec.

Młódzież cisnęła się. zamawiając już do mazurów: piękna Warszawianka szukała oczyma towarzysza skocznych marzeń; osiemnastoletni Staś. syn pana sędziego Dostałowicza. otrzymał pierwszeństwo: chłopak był śliczny. a wyraz jego twarzy tak słodczy pełen. że go nieraz za panienkę żartami przebierano. Zalotnica jak wędką rzuciła nań okiem, wlepiła w niego wejrzenie i przyszedł do niej posłuszny.

— Wybieram sobie pana za tancerza na wieczór cały.

Staś rozpromieniał. pożerał ją dawno oczyma, o biednym panu Walentym nie było już mowy. ni myśli, ni wejrzenia dla niego. Orbeka po polonezie, usunął się na ganek. wykradł był swoją czapkę i miał podstępny myśl powrócenia do domu, czuł, że pobyt dłuższy coraz się stawał niebezpieczniejszym. głowa i serce obłąkiwały się. a kobieta ta już o nim nie myślała wcale. Uśmiechała się do aniołkowatego Stasia. który zdawał się z nią unosić w siódmym niebie. Para to była prześliczna.

Mira będąc posłuszną tylko popędowi. nie rachując. wcale jednak nie źle postąpiła. tracąc z oczów

Orbekę, bo już i gospodarstwo się na nią trochę krzywili, widząc jak on ją ścigał oczyma, i goście szeptali.

W ten sposób uniewinniła się zupełnie, odzyskała serce gospodarzy, a uszczęśliwiła Stasia, który by był się dał już za nią w drobne kawałki posiekać.

W ganku, gdzie Walenty posiedzieć musiał nim się potrafił wyrwać, zjawiała się panna Wanda z mamą, którą prawie zaraz odwołano; Orbeka pozostał z ładnym dziewczęciem, które całe drżące, ledwie z nim mówić umiało.

I on też nie był śmielszym od niej. Ona by się chciała wyrwać do tańczących, on uciec do domu, jej serce biło jakimś strachem, jemu niezmierną tęsknotą i znużeniem. Przywykły długo do ciszy i spokoju, wyczerpał na ten wieczór wszystkie siły — pragnął co rychlej być sam z sobą i odpocząć z myślami.

Ale przez grzeczność musiał bawić pannę, która ze swojej strony, starała się go zabawić jak umiała. Jakby naumyślnie ta rozmowa sam na sam, z której niewinne dziecię nie umiało korzystać, przedłużyła się nadzwyczajnie. Dopiero Staś szukający panien do jakiejś figury w mazurze przyszedł ją porwać, z czego pewnie była bardzo rada — a Walenty korzystając z osamotnienia, przez ogród ruszył ku stajniom do swoich koni. Tu jednak próżno szukał woźnicy, co żyło bawiło się na folwarku, nikogo znaleźć nie było podobna. Należało albo powracać pieszo do Krzywosielca, lub do salonu. Z dwojga, pierwsze wybrał pan Walenty, noc

była cicha, księżycowa, prześliczna, a choć spory kawał drogi, przywykłemu do wiejskich przechadzek. nie wydał się on strasznym. Sam więc z myślami, obrazami, wrażeniami i goryczą w sercu, powoli powlókł się gościńcem, zostawując za sobą. jaśniejący od świateł, dwór Bukowieckich.



### ROZDZIAŁ III.

Gdy się opatrzono, że Orbeka znikł, był on już nadto daleko. aby gonić za nim myślano; zgorszył się tylko Bukowiecki. dowiedziawszy się, że pieszo uchodzić musiał. A już też, szelma jestem. niegodziło się tak postąpić, jakby z nieprzyjacielskiego domu. Muszę mu też to wymówić.

Mira posłyszała z rozmów przechodzących, że p. Walenty zniknął. ale ją to mało; lub nie wcale nie obeszło. Wrażenia pierwsze zatarły się już wesołym tańcem. a Stas był tak ślicznym, rumianym chłopakiem, pełnym życia i młodości, że wspartej na jego rękę. można było o milionach zdziźiałego, smutnego, uwiedłego Orbeki zapomnieć.

Oprócz Stasia. przy żwawej, wesołej, dowcipnej wdówce, roiła się młodzież, opasując ją i trzymając w objęciu. Strzelały i odstrzeliwały wejrzenia. słowa dwuznaczne, uśmiechy wiele mówiące. młodzież traciła głowy, szalała. panny stały nieco zaniedbane na boku Bukowieccy oboje byli zasepieni. Wczoraj-

sze dobre wrażenia zacierały się przed oczéwistością, zalotnica warszawska wydawała mu się niebezpieczną.

— Wiesz jegomość—szepnęła Bukowiecka, taki to czem się skorupka za młodu napoi...

— Oj tak! tak, moja dobrodziejko. odparł sam — szelma jestem, coś mi już dziś to ziółko nie pachnie. Bo niechżeby sobie do kaduka wybrała jednego, ale balamuci wszystkich.

— A ja mój jegomościuniu, spytam się ciebie, choć to moja krewniaczka. po co ona do nas tu przyjechała? jak ty myślisz!

— Ha. no—może na rezydencją.

— O! to ci dziękuję, tego sobie nie życzę. dla moich dziewcząt.

— Albo myśli, że się tu łatwiej trzeci raz za mąż wyda.

— Uważałeś jegomość, jak bezwstydnie tego Orbe-  
kę łapała, dobrze zrobił. że uciekł.

— Hm! hm! rzekł Bukowiecki, jak ona zechce. to go znaleźć potrafi.

— Nie da się on jej.

— To pytanie.

Przy wieczerzy postrzegła się dopiero, uniesiona wirem tańców i szału Mira, że całe niewieście towarzystwo i gospodarzy naraziła sobie, pozawracawszy głowy młodzieży; ponieważ młody Staś najmniej ją kompromitował. zwróciła się ku niemu, a reszcie poczęła dawać odprawę mniej więcej niegrzeczną, ale stanowczą. Postarała się trochę przejednać gospodarstwo oboje, ale z temi poszło ciężiej jakoś. a gdy nad

rankiem już odchodziła do swego pokoju: jeden tylko oszalały Staś ją odprowadzał.

Potrzebujemyż pisać obszerniejszą monografią tej kobiety, aby ją dać wam poznać lepiej? Typ to był wcale nie rzadki, choć egzemplarz dziwnej w swym rodzaju doskonałości. Istota, w której serce biło może, ale tylko pod gorącym wrażeniem teraźniejszości. Między wczoraj a jutrem, dla niej, nie było żadnego związku, jedno nie ręczyło za drugie. Namiętności, fantazyje, zachcenia, zacierały się kolejno. Było to istne serce baweluiane, które ucisnięte, przyjmowało na chwilę kształt mu nadany, lecz natychmiast potem mogło równie przybrać inny. Nic na niem nie rysowało się trwale.

Głowa i wyobrażenia wiodły ją raczej niż uczucie, kochała głowę, nienawidziła nią, ale w głowie tej panował chaos dziwny, i pragnienia nieustannie nowych rzeczy.

Były chwile, w których Mira czuła się stawiała, gotową do poświęceń, w których umiała kochać, była pokorną, łzawą, serdeczną: żałowała za swe grzechy, przyznawała się do nich, brzydziła sobą — ale—niestety—były to tylko chwile. A po nich szły następowały jeszcze gorętsze, może jeszcze dziksze. Było to życie gorączek, dramatów, zmian, łez i śmiechów, rozpacz i szczęście, na drobne posiekanych kawałeczki.

Przeżywszy wiele poczętych szczęść i rozpacz, które być miały wiekuistemi. Mira żadnego z nich nie wyniosła doświadczenia. marzyła jak w pierwszych dniach wiosny, spijała przyjemności dzisiejsze, nie troszcząc się o gorycze, jakie po sobie

zostawić miały; rzuciła się w bólach, które lada powiew łagodniejszy rozpraszał. Słowem. była to ta istota poety „wietrzna“ której postaci zazdroszczą anieli, a w której duszy. może nie tyle zła było, co nieuleczonej płochości.

Wróciwszy do swojego pokoiku zmęczona, rozbawiona. z mazurkiem w głowie, z szeptem Stasia w uchu, upojona tryumfami. padła na posłanie, powiedziaławszy sobie, że potrzeba było na seryo pomyśleć o jutrze.

Ale to postanowienie rozchwiało się poziewaniem, sen przyszedł skleić powieki, i w marzeniach tańczyła jeszcze, ale już tylko z Orbeką.

Zbudziła się zdziwiona sama, że ze wszystkich, nawet uad ślicznego Stasia. głębsze wrażenie na niej uczynił ten biedny, zwiędły człowiek, który tak uciekł niegrzecznie. bez pożegnania.

We dworze, po wczorajszej uczcie, zaspali wszyscy, miała więc czas Mira następujący list napisać do przyjaciółki swej. pani Lullier, do Warszawy.

„Kochana Lulu! przyrzekłam ci opisać moją podróż, i odkrycia po dzikich krajach, a choć niewyspana. zmęczona okrutnie, danego słowa dotrzymuję, winnaś mi być bardzo wdzięczną. Dla ciebie nie mam tajemnic; wiesz. że wybrałam się do tych Indyj. szukając trochę nowych przygód, a trochę może nowego towarzysza do dalszych wycieczek. bo mi już samej nudno, i za długo tak jestem ni wdową ni mężatką. W waszej Warszawie wszyscy się ze mną oswoiłi. i to jest świat. co się rozwodzi

a nie żeni. Pojechałam więc do poczciwej cioci. A! wystaw sobie. drogi w stanie pierwotnej niewinności. koleje powybijane do wnętrzości ziemi. błoto straszne. karczmy okropne: ale lasy kwitnące. wonne, wiosna czarodziejska. Po kilku dniach pielgrzymki, złamawszy tylko dwa razy moją żółtą karetkę. trochę połamana sama. dostałam się do ciotki. Dom patryarchalny, sześć panien na wydaniu. bale. jak się zdaje. codziennie. czy przez dzień. muzyka złożona z żydów i cymbałów. ochocza. i chłopcy ładne, jak krew z mlekiem. Uczty baltazara! co ci ludzie jedzą! cały boży dzień, nie masz wyobrażenia. jestem przestraszona, patrząc tylko na to. Wujostwo oboje *de bien braves gens à l'antique*. przyjęli mnie zrazu zimno. bo mnie widać poprzedziła jakaś *repntacya*. *et on est severe et rigide*. *la campagne* ale potem zaraz ich udo-bruchałam.

Wystaw sobie że trafiła na rodzaj baliku. była to uczta dawana na powinszowanie. czy już tam nie wiem jak nazwać — pewnemu panu Orbeci, który z nbogiego szlachcica został milionowym panem. przez spadek po stryju.

Ten Orbeka. *un original*. *misanthrope*, suchy. żółty. ni stary ni młody życie spędził na wsi. nad książkami i klawikordem. z jednym psem i sługą. Dopiero go te miliony wyciągnęły na świat. Otóż, wystaw sobie, podbiłam go od razu. Patrzył na mnie w zachwyceniu. w jakimś osłupieniu. jakby na istotę swych marzeń. drżał mówiąc. bełkotał... mówię ci pochwyciłam go; gra bardzo ładnie. ty wiesz Lulciu że i ja nie źle grywam, gdy chcę. Otóż

tego dnia chciałam i zawróciłam mu głowę sonatą Beethowena.

Jeżeli się jeszcze gdzie spotkamy na świecie ten człowiek jest mój. Nie powabny. nie młody smutny jakiś. nadto surowo wygląda. ale miliony. W najgorszym razie. w intercyzie ślubnej może sobie zawarować. *une retraite honorable, avec 50 mille florins de rente.* Ce n'est pas le bont du monde, mais c'est quelque chose.

Na seryo pomyślę o nim.

Nieszczęściem przyszły tańce pod wieczór; on nie tańczy. a ja mam passyą do mazura. porzuciłam go w kącie. bo mi się trafił chłopaczek jak lalczka, a było ich do wyboru. Przeszaleliśmy z nim do białego dnia, ałem straciła z oczu mizantropa, który podobno pieszo uciekł do domu. Nie mam nadziei, żebym go już tu pochwycić mogła. ale go złapię w Warszawie, dokąd pojedzie.

Ja też tu długo bawić nie myślę. jako osobliwość *un couple de jours.* na tej pustyni. pojmuję. ale żyć niepodobna. Cały ten świat taki jakiś rubaszny, a mimo to — *d'une severité!* Przytem ubierają się. jedzą. piją śmiesznie. I fryzjera nie ma całkiem. a do *marchande des modes*, chyba do Warszawy posyłać.

Zdaje mi się też, że wczoraj nie ostrożnie jakoś tryumfowałam. panny tutejsze. matki. ojcowie. krzywo na mnie patrzą. Bukowieccy widocznie się obawiają. O! mniejsza o to niewyżyłabym ich zrazami i bigosami. Dziś w całym domu tak słychać

kapnę. że piszę trzymając flakonik pod nosem. bo mnie aż dusi.

Ale dla przyzwoitości. zabawię dui kilka. pozawracam głowy wieśniakom. rozkocham Stasinka. żeby całe życie wdychał do mnie. zostawię mu pierścioneczek na niezabudź. i, *adieu Messieurs!*

Biedne niewiniątko! żebyś wiedziała jak mu ręce drżały. gdy sparta na jego ramieniu wracała nad ranem. jak gorący pocałunek złożył na końcu paluszków moich. odchodząc z westchnieniem. z którego się śmiałam serdecznie. *Mais un petit bont de roman naif. cela rajeunit, c'est rafraichissant* — nie prawdaż?

Chciałabym ci opisać wieś. bo ty jej nie znasz wcale. a szlachecki dwór na wsi — *Ah! que c'est drôle!* Ja. chociażem się wychowała w podobnym. alem już zupełnie zapomniała tych obyczajów. Każdy z tych panów jest w stanie zjeść na dzień całego wołu i wypić beczkę piwa, antał wina, *que sais-je?* zajeździć dziesięć koni. Wszystko to poumierane ze staroświecka, mówią głośno, klną strasznie. ale w gruncie jak się przekonywam, pod pantoflem wszyscy. Kobiety wszechmogące. *A!* jakie kobiety. moja droga. nie wystawiasz sobie tego wykrochmalenia. tej powagi. śmiałości ich razem i naiwności.

Raz wyszedłszy za mąż. świat zawiązany. nikt tu nie słyszał o rozwodach, *un mariage c'est pour l'éternité on y entre comme dans un cloître.* To pociecha, tylko że się rządzi despotycznie. Ubierają się przedwiecznie. mody nie znają; przychodzą tu one podobno w pięćdziesiąt lat dopiero, gdy już o nich w całym świecie zapomnieli.

Długobym tu wyżyć nie mogła. ale wiedzieć było warto przecie. Zdaje się, że za parę dni. sans tambour ni trompette, każe zaprządz do żółtej karretki i... stawię ci się. jednego białego poranka. aby cię uścisnąć. nagadać się i uśmieć. Tylko muszę wprzódę się dowiedzieć. co się z moim milionerem stało, bo je n'en demordrai pas. musi być moim. Całuję śliczne oczki twoje.“

*Mira.*



## ROZDZIAŁ IV

Powróciwszy do domu pieszo. Orbeka zastał swojego wiernego Nerona w ganku niespokojnego, oczekującego; Jaśka na ławce. a konie przy stajni. Woźnica bowiem. dowiedziawszy się o zniknięciu pana. krótszą drogą. mając nadzieję go napędzić. pośpieszył do Krzywosielec. Rozminęli się z panem Walentym.

— Słuchaj Jaśku. rzekł Orbeka do starego sługi. przygotuj mi tam. jak potrafisz. do drogi wszystko, jechać potrzeba, a tu mnie ci ludzie zamęczą powinszowaniami. Bryczka jaka jest, konie jakie Bóg dał, la-da chłopak powiezie.

— A ja i Neron? zapytał Jasiek. łącząc naiwnie siebie z pocziwem stworzeniem. które się u nóg pana łąsiło.

Ty mój stary, zostań na straży w domu. rzekł Orbeka. Zachowasz mi tu wszystko nietkniętem jak było. Kto wie. jak i z czem powrócę. Może się nam ciche dawno wrócić czasy! A Nero — pojedzie ze mną dodał.

— To Nero szczęśliwszy odemnie. szepnął Jasiek. a! panie.

— Nie—rzekł. ściskając go Walenty, ale ciebie robię stróżem wiernym mojego gniazda. Myśl tu o mnie i prosz Boga. abym cały powrócił.

Sługa się rozplakał. a pan może dla tego. żeby tzy nie pokazać. uszedł prędko do komina wygasłego i siadł przed nim na długie dumanie.

W parę dni potem. pan Walenty zegnał Krzywosielce. tak smutny. tak wzruszony, jak gdyby jechał nie na żniwo złote. ale na przewidziane męczarnie. Serce mówiło mu. że cierpieć musiał na nowo. a przeznaczenie gnało tą drogą nieuniknioną cierpienia.

## ROZDZIAŁ V.

Są chwile jasnowidzenia w życiu — najzaciętszy niedowiarek, choć to sobie na swój sposób tłumaczy, fakt uznać musi. bodajby miał nazwać zwierzęcym instynktem, a nie wzrokiem duszy. Jak błysk nagły przelatuje przyszłość przed nami i czujemy ją nienchronną, fatalną, wola złamana jej potęgą, posłuszna jak ta słaba istota, która w paszczę węża leci sama. ciągniona wzrokiem jego — uagina się do widzenia swej doli. choćby ta dola była najstraszniejszą męczarnią.

Orbeka wyjeżdżając z domu, wiedział, że go w świecie znówu czekają zawody ciężkie i cierpienia. jednakże nic nie czynił aby ich uniknąć. sam szedł w paszczę fatalności.

Od bardzo dawna nie wiedział już nawet co się z żoną jego, zaślubioną innemu, stało; na samym wstępie, przybywszy do stolicy, dowiedział się od przyjaciela. że owdowiała. że była dosyć biedną.

Sławski, stary druh pana Walentego, choć nosił mundur, zupełnie był swobodny i niezajęty. Bawił się rysunkiem, sztuką, czytał, malował;—należał do małego kółka miłośników malarstwa. Ubogi, cichy, nie marzący o świetnych losach, Sławski żył z dnia na dzień z małej pensyjki i z drobnych robotek. Egzystencya to była brukowa, biedna, zależna, z jednej strony ocierająca się o to co kraj miał najświetniejszego, najbogatszego, z drugiej o najuboższe sfery wyrobników sztuki, nędzniejszych od wyrobników rzemiosła. Szczęściem Sławski nie chorował jak wielu pseudo-artystów na fantastyczne gorączki, nie narzekał na świat, nie szukał w nim nasycen i wrażeń zbyt silnych, pijał tylko wodę, jadł mało, a pracował wiele. Ze wszystkich względów był to człowiek znakovity, choć wielu miało go za zimnego, za pospolitego, dla tego, że żadnej nie odegrywał komedyi i nie narzuczał się ludziom, a raczej bronił od nich i odosobniał.

Z Orbeką spotkali się na ulicy: Sławski nie wiedział o zmianie jego losu, o spadku, o milionach, i powitał go zdziwiony. — Cóż ty tu robisz? po co ci było ze wsi, gdzie spokojnie pracować mogłeś, ruszać się?

— Masz słuszość pytać, odpowiedział Orbeka, ale się mylisz, sądząc, że to zrobił z dobrej woli.

— A cóż cię zmusiło?

— Nic nie wiesz?

Sławski ruszył ramionami, i dowiedział się dopiero całej historyi, a twarz mu się zasepiła. Wcale odwrotnie, nie jak pospolicie ludzie czynią, zwykł był mikać bogatych, pocziwy Orbeka już go przestraszał. Ledwie po starej znajomości potrafił go gwałtem

zatrzymać i dłuższą z nim poprowadzić rozmowę. Ale Sławski już się miał na ostrożności.

Od niego dowiedział się pan Walenty o owdowieniu żony swej i biednym jej stanie, i jego pośrednictwa użył, aby wesprzeć ją datkiem. Ktoregoby się pochodzenia nie domyslała. Ciągnęło go coś zrazu do nieszczęśliwej, ale siła jakaś przeciwna wstrzymała.

Zmuszony zająć się interesami, nie wiele wychodził pan Walenty, mało kogo widywał, prócz prawników i Sławskiego. Potrzeba było opery, muzyki i namowy Sławskiego, aby go wieczorem wyciągnąć do teatru. Włoszka primadona występowała w nowej operze, Sławski choć sam nie muzyk, namiętnie lubił śpiew, Orbeka dał mu się zaprowadzić do teatru.

Zastali w dosyć niewygodnie urządzonej sali tłok niezmierny, szczególnie wielkiego świata, elegantek, fireyków, jak ich naówczas zwano — (dzisiejszych lwów)—i piękności modnych.

Chociaż wszyscy przyszli niby słuchać muzyki i śpiewu, najmniej jednak słyszeć było obojga, opóźnieni widzowie wchodzili podochoceni po obiadach, głośno rozmawiając, piękne panie w łóżach śmiały się na całą salę; trzaskano drzwiami. wołano się z jedno do końca teatru na drugi. Dopiero na główną aryał owej włoszki, nieco się ciszej zrobiło, przesłuchano ją trochę uważniej; ale po oklaskach, które koniec zwiastowały, szmer i wrzawa rozpoczęły się na nowo. Sławski miał zręczność ukazać Orbecę najjaśniejsze gwiazdy tego Olimpu, najpiękniejsze twarze, z których do każdej przywiązana była jakaś ciekawa historia. najwybitniejsze postacie epoki. w rozmaitych odznaczające się zawodach.

Rozmowa szła bardzo żwawo między dwoma przyjaciółmi, którzy zajmowali dobre miejsce w niskiej łoży i prawie skryci byli od ciekawych oczów, gdy nagle Orbeka chwycił za rękę Sławskiego, i wskazał mu jedną z łóż piętrowych. do której właśnie wchodziły dwie strojne panie.

— Ty, co tu znasz wszystkich. rzekł, potrafisz mi zapewne powiedzieć coś i o tych dwóch pięknych tawarzyczkach?

Sławski popatrzał chwilę.

— Jedną z nich jest przecie pani Lullier, której się nikomu nieznać niegodzi. odpowiedział.

— A druga? zapytał Orbeka.

— Druga jest niemniej sławna, lub jeżeli wolisz osławiona, ex-baronowa von Zughau, i ex-podczaszyzna. w języku fireyków, znana pod imieniem pięknej Miry.

— Dla tego właśnie pytam was o nią. że ją niedawno spotkałem na wsi. i dziwi mnie, że już ją znajduję w Warszawie.

— A! spotkałeś ją! odparł śmiejąc się Sławski—jeżeli wiedziała o tym spadku. dziwię się mocno, że cię całego wypuściła.

— Znasz ją? spytał Orbeka.

— I ja ją spotkałem w kilku domach. w których bywam, bo ona bywa wszędzie, ale ze mną to co innego, ja stoję w kątku, nie odznaczam się niczem, oczy kobiet tego rodzaju nie strzelają na tak lichą zwierzynę, ominęła mnie ex-podczaszyzna. nie zwracając uwagi.

— Bądź co bądź, to dziwnie urocza kobieta. zawołał Walenty—gdybyś wiedział jak gra!

— Gra, śpiewa. tańczy. rozmawia zachwycająco, to rzecz uznana. mówił Sławski, jest-to syrena. jest to najniebezpieczniejsza z pokus. jest-to kameleon, który co chwila się mieni, ale to kobieta bez serca, bez sumienia i bez litości.

— Surowym jesteś!

— Pobłażającym. rzekł Sławski, mógłbym powiedzieć gorzej ale ja ją potroszę uniewinniam tem. że nie ma tu może i jednej kobiety, któraby tych samych ciężarów co ona. nie miała na sumieniu, tylko w mniejszej liczbie. Trzeba za coś rachować atmosferę, w której się żyje.

— Więc nie jest gorszą od innych?! rzekł Orbeka.

— Niech tam Bóg sędzi. odpowiedział Sławski, ja w ogóle nie przyznaję ludziom prawa wyrokowania o bliźnich. to co Chrystus powiedział o rzuceniu kamienia. rozumiem w tym sensie, że my wszyscy. zawsze w drugich sędziemy naszą własną sprawę. Trzeba być aniołem. by sprawiedliwy sąd wyrzec o człowieku. Gdzież i do jakiego wyroku nie domięsza się słabość ludzka?

— Możesz mi -- choćby nie sądząc. coś powiedzieć o niej? spytał Walenty.

— Mało.— Obiło mi się wiele rzeczy o uszy. ale ta twarzyczka nie bardzo mnie zajmowała. nie dopytywałem się, nie śledziłem jej. Dość mi było spojrzeć, by zadrzeć. Historia jest bardzo prosta, niezmiernie pospolita. Młodziuchną wydano ją za starego, to był może pierwszy powód, dla którego rzuciła się w świat. nie mając czem serca wyżywić w domu. Młody chłopak zbałamucił ją, rozwiódł, i.. nie ożenił się, bo rodzina nie dopnęła. Stracił dla niej część majątku...

rozdzielono ich. Po nim nastąpił książę S., który, jak mówią, obiecywał ożenienie, ale dostawszy od żony policzek. pomiarkowawszy, że co miał, poszło wszystko na śliczne oczki. że rnina grozi, cofnął się. Podczaszy ożenił się z nią później. ale nie długo wytrzymał, gdyż piękna pani nosiła wprawdzie jego nazwisko, traciła jego pieniądze. mieszkała w jego pałacu, ale z nim żyć nie chciała. Nowy rozwód nastąpił. w dosyć podobno dobrych dla pani warunkach. Mąż ratował część fortuny, odstępując resztę zbytnicy. Mówią że i tę już już pożarły podróże, fantazyje, stroje, rozrzutności wszelkiego rodzaju.

Nie liczę ci innych ofiar, które wymieniają. oskubanych. podryjnowanych. lub całkowicie zniszczonych przez piękną Mirę, ma ona tu sławę nienasyconego na pieniądze żarłoka. Nie może się obejść bez nich, na to, by je wyrzucać oknami. Ale od niejakiego czasu strzegą się jej wszyscy. Urok ma mieć niesłychany, i umie zrobić z siebie co zechce. nawet niewinne, skromniutkie dziewczę. Nic to jej nie kosztuje, ma to w natrze.

Gdy Sławski z zimną krwią anatoma opowiadał, Orbeka wpatrywał się w wystrojoną panią. która śmiałemi oczyma przebiegała teatr. główką i uśmiechami rozrzucając ukłony. niezliczonym znajomym. Była ubrana z wielkim smakiem. z różą we włosach. z naszyjnikiem szmaragdowym na białych ramionach. z rączkami obnażonemi. cała w koronkach i gazach. Wyglądała jak kwiatek w ozdobnym świeżuchnym koszyczku. Przy tej wiosennej świeżości jej, gasły inne kobiety, wydając się stare i zwiędłe. Spokój i łagodność rozlaue były na jej twarzyczce, rzekłbyś, że jeszcze nie rozpoczęła, nie zaznała życia.



Zaledwie ukazała się w swojej łoży, kilku młodych ludzi wpadło do niej, z bukietami, ze śmiechem, z natrętnem zalecaniem, które ona przyjmowała jako hołd należny sobie. Dwóch czy trzech starszych ichmościów wyciągnęły jej oczy z parteru. drzwi łoży zamknąć się nie mogły, taki tam tłok się zrobił koło niej. ale ona wprędce porozpędzała niepotrzebnych. pozwoliła zostać dwom czy trzem i sparta na krawędzi. przyglądać się zaczęła publice. Pilno przebiegała z kolei łożę po łoży. ławkę po ławce, czyniąc rozmaite zabawne uwagi. z których ona i otoczenie jej się śmiało do rozpłnu. Wiele oczów na ten wesoły hałaśliwie zwróciło się kątek, ale ona właśnie sobie tego życzyć musiała.

Młody człowiek stał za nią, jakby adjutant.

— Mój panie Hornim, zawołała odwracając się do niego. pomóż-że mi. kto tam siedzi w ciemnym kącie. w dole. w parterowej łoży... o ten... o tu...

Ręką wskazała ku Orbecce.

— Sławski.

— Ale ja go znam, wiem, nie o niego pytam.—Kto z nim?

— Tego ja nie znam.

— Mnie się zdaje.. ale może się mylę Panie Hornim. pójdź-że na zwiady do Sławskiego- i przynieś mi języka— ale koniecznie.

Sławskiego znam mało.

— Cóż mi do tego. kiedy ja chcę— dodała z przysiskiem—kiedy ja każę. Przecież pan wiedzieć powinien, że co ja chcę, to się musi stać. Ce que femme veut... Byłbyś najniezgrabniejszym w świecie. gdybyś się nie potrafił dowiedzieć.

Orbeką. T. I.

Hornim już się zabierał do wyjścia.

— Czekał. czekał przerwała. już nie potrzeba. już wiem, już jestem pewna. Tak. to on, obrócił się. poznałam go. Ale jakże się nazywał! O! to mniejsza, pewna jestem że to on. Tak! miał być w Warszawie. Hornimie. złoty, kochany, dam ci końce palców do pocałowania, pójdz i prosz go do mnie jutro na obiad. razem ze Sławskim.

— Ale. zawahał się Hornim.

Mira tupnęła nóżką i uderzyła go wachlarzem po ramieniu.

— Mais je vous dis qu'il n'y a pas de: ale... i spełnij rozkazy.

Hornim skłonił się i wyszedł natychmiast. po chwili ukazał się w łóży Orbeki, piękna pani z oczów jej nie spuszczała.

Trzeba było śmiałością nadrobić.

— Jak się masz p. Sławski. zawołał wchodząc. przepraszam że się tak introdukuję natrętnie, ale są wypadki nadzwyczajne. Naprzód chciej mnie zaprezentować panu..

Orbeka się zarumienił.

— Pan Hornim; pan Walenty Orbeka.

Skłonili się sobie.

Gdy się kobieta piękna i młoda uprze i nakaże coś, odezwał się Hornim. nie ma ratunku. potrzeba być posłusznym; to panowie zapewne wiecie i darujecie mi, że tak niegrzecznie może trochę, spełniam to poselstwo od pięknej Miry. która o to ze swej łóży credentials mi tu przesyła. Oto, pan Orbeka wszak jest jej znajomym?

— Bardzo mało, rzekł Walenty.

— Podczaszyna obu panów zaprasza jutro na obiad.

Orbeka prawie przestraszony pobladł. mimowolnie oczy jego zwróciły się na łożę, a Mira domysliwszy się, że to była chwila stanowcza, ruchem wachlarza potwierdziła inwitacyą.

— Spodziewam się że panowie nie odmówicie zaproszeniu. śmiejąc się dodał Hornim, w przeciwnym bowiem razie. odebrawszy stanowczy rozkaz. musiałbym użyć siły.

Zaproszeni się rozśmiali, ale Walenty smutnie jakos, a Sławski dodał:

— Ej, panie Hornim, zaręcz że nam obu, że się na tym obiedzie nic nie stanie. a nuż nas ta Cyrce po-przemienia w jakie zwierzęta: tak jak już ciebie zmieniła w doskonale ujeżdżonego wierzchowca. Nie jest to fraszka dostać się pod strzały tych oczów. wolalbym pod fortecę stać, miałbym się czem bronić, miny. kontr-miny. a tu...

— A tu. przerwał Hornim wesoło — no — myślę że panowie przyjedziecie także zbrojni i nie się wam nie stanie. Obiad jest o drugiej.

Podał rękę Orbecce.

— Czy i pan się lękaasz? zapytał.

— Ja jestem już trochę stary — rzekł niesmiało Walenty. i wiek mnie sam broni, byłem w nie jednym ogniu. a choćbym był i ranny, *à la guerre comme à la guerre*.

Wymówił to sam sobie. dodając odwagi, której w istocie nie miał wcale biedny, bo drżał w duchu, choć się z tą obawą pokazać nie śmiał.

Po wyjściu Hornima, chwilę milczenie panowało w łoży, Walenty miał oczy w dół spuszczone. Sławski był zniecierpliwiony i pochmurny.

— Ta kobieta nie ma wstydu prawdziwie, zawołał po chwili, wyzywa cię, to widoczna, dla tego że już wie o tem. iż masz ogromny spadek do stracenia, a może czuje cię już słabym. Nie wiem w jaki sposób spotkaliście się na wsi. ale nie wątpię, że ta myśl od pierwszej chwili opanować ją musiała.

— Wyjdźmy z teatru. rzekł Orbeka. przejdźmy się po Saskim ogrodzie. pomówimy obszerniej: jestem zburzony cały.

Oczy pięknej Miry padły na wychodzącego już Orbekę. któremn skłoniła się jeszcze wachlarzem. główką i uśmiechnęła figlarnie. jakby po cichu szepcząc—

— Do zobaczenia...

Walenty otarł kroplisty pot z czoła. drżał cały, schwycił rękę przyjaciela i szybko wyszli... jakby uciekając oba.

Noc była przesłiczna, niebo przebiegały białe chmurki wełniste, z między których księżyc jasny nie kiedy przeglądał; wśród starych drzew pełno było przechadzających się osób, i wielce ożywionego towarzystwa. chociaż z najróżniejszych złożonego żywiołów.

Orbeka długo mówić nie mógł; Sławski zinniej-szy widząc go pomięszanym, przełękłym i źle rokując z tego. pierwszy rozpoczął.

— Jest-to. rzekł. na pozór, rzecz malej wagi... pójść na obiad do zalotnicy — ale gdybym się nie czuł zbrojnym, chłodem. a wiedział się słabym. wiesz co-

bym uczynił? Otóż wymówiłbym się chorobą, a ka-  
załbym konie zaprządź i uciekłbym z miasta.

— Myślę właśnie, odpowiedział Orbeka, czy mi te-  
go nczynić nie trzeba.

— Byłoby to najrozmniejszem. mówił dalej Sław-  
ski. W młodości rozumiem uleganie tej sile fascyna-  
cyjnej kobiety, wymawia je gorączka wiekowi właści-  
wa, ale człowiek dojrzały. dla którego ona nowością  
nie jest, od choroby niebezpiecznej bronić się powi-  
nien rozumem.

— Tak jest, cicho wybąknął Orbeka głosem stłu-  
mionym, wiem doskonale wszystko co powiedzieć mo-  
żesz, bo sam to sobie mówię i powtarzam. ale...

— O! jest więc ale... spytał Sławski.

— Jest ale — westchnął Walenty, jest ale — nie-  
stety! Wiesz ty, co to jest żyć bez przywiązania gwał-  
towniejszego do nikogo, zdradzonemu. zestarzałemu  
w samotności? mówić sobie nieustannie, życie się koń-  
czy. jam tyle pragnął. a nic nie otrzymał? Człowiek  
dochodzi do tak rozpaczliwego spragnienia, że gdyby  
w napoju podanym czuł truciznę, — woli ją wypić, niż  
usychać z żądzy nienasyconej.

— Mój kochany, odpowiedział Sławski, pojmuję ja  
ten stan. bom przez ognie jego przechodził. — I ja ma-  
rzyłem o kobietach i kobiecie, i dla mnie śmiały się  
nadzieje, a ubóstwo i stosunki spychały mnie nieustan-  
nie w objęcia takich istot. które we mnie obrzydzenie  
wzbudzały. Nareszcie zwęglony gorączką potrafiłem  
powiedzieć sobie, że moje życie obejdzie się bez  
kosztownej ambrozyi. zem wydziedziczony. i z losem  
moim pogodzić się powinienem. Po mężku, surowo  
trzeba się z sobą obchodzić.

— I to wiem. rzekł Orbeka. ale kto nie ma siły  
męskiej i energii?

— Kochany przyjacielu. zawołał Stawski! ten...  
daruj — mi ten w kałuży tonie.

— Fatalność.

— Niema fatalizmów. jest wola! ale potrzeba mieć  
odwagę ją nyskać.

— Wówczas na co się zdało życie? spytał Orbeka.

— Posłuchaj mnie. zrozumiesz. zawołał rozgrzewa-  
jąc się Sławski.

Będę mówił długo i z pewnością nudnie, ale noc  
jest tak piękna. a tyś w takim ducha nspodobieniu.  
że możesz posłuchać. Dla mnie to gratka miła wy-  
wnętrzyć się z myśli, któremi rzadko z kim w życiu  
się dzielę.

Nie sądz. ażebym nie rozumiał tego niebiańskie-  
go szczęścia. jakie miłość dać może; ale taka miłość  
to wielki los wygrany na loteryi życia. Na sto tysięcy  
ludzi, jeden może go chyta.

Ta miłość idealna, ilnż potrzebuje warunków, aby  
była jasną gwiazdą żywota, sympatyj. temperamen-  
tów. namiętności. charmonij charakterów. szczerości  
serc. miłości z ciała i miłości z ducha, szacnkn. wia-  
ry? Niech jeden ton fałszywy znajdzie się w tej gam-  
mie. cały śpiew w dysharmonią się rozpręganie. Taka  
miłość trwała, to *rara avis in terris*... liczą  
w historyi za osobliwość te stadła serdeczne. Marzyć  
więc o niej ludziom, choćby najgoręcej spragnionym  
tego niedostępnego szczęścia. jest-to czas tracić mar-  
no i usychać na łodydze.

Ja życie inaczej rozumiem, mijając nawet cel je-  
go poważny. główny. udoskonalenie człowieka, pod-

niesienie go. wyszlachetnienie — to pragnienie miłości zwracam ku innemu celowi, kocham naturę. piękność wszelką, i to co ją odtwarza — sztukę. W niej szukam nasycenia, szczęścia chwilowych a niezmąconych niczem rozkoszy. Tak i ty niegdyś pojmo-  
wałeś życie.

Na widok obrazu pięknego. posagu. zachodu słońca, wspaniałej okolicy. słuchając muzyki. czytając poezją, używam. łączę się ze światem, żyję. czuję żem wyższą istotą. i dosyć mi na tem.

Chwilka szalu. którąbym gorzko opłacić musiał upokorzeniem. zawodem, żalami, zdaje mi się niegodną ścigania. upadlającą człowieka.

— Dałeś mi broń do odpowiedzi zwyczajkiej. odparł żywo Orbeka—jednem więc tylko cię zbije; życie całe jest loteryą. Dla czego mi na nią stawić nie pozwalasz. gdy wszystko jest stawką na niepewne? Czemu ja nie mam być tym jednym ze stu tysięcy, szczęśliwym wybrańcem?

— Oto naprzód dla tego. mój kochany przyjacielu. rzekł smutnie Sławski. że dziś, choć sercem ciepłem, nie jesteś już młodzieńcem; a zatem mniejsze jest prawdopodobnem, ażebyś w kobiecie miłość gwałtowną miał wzbudzić. Będzie ona udawać przywiązanie. oszukiwać ciebie. ty sam się uwodzić będziesz i..

— A jeżeli mi to ma dać szczęście? dla czegoż mam koniecznie posyłać do mennicy moje złoto? jeżeli złotem będzie dla mnie..

— Przyjacielu, rzekł Sławski. kto tak rozumuje. tego już przekonać niepodobna. Lękać się istotnie zaczynam o ciebie. bo chcesz być uwiedzionym. a zatem nim będziesz.

— A jeżeli zyskam chwilę szczęścia? spytał Orbeka.

— To ty nazywasz szczęściem! o człowiecze! o bluźnierco!... Jeżeli w myśli twej stoi obraz tej kobiety, nie mów-że o szczęściu! Jest-to czara może uroków pełna, ale zatruta! Dla mnie sama ta myśl, że kobieta z tysiącem niedogasłych wspomnień, z niestaremi jeszcze pocałunkami dawnych kochanków... Nie, kochany Orbeko, nie dawaj temu szalowi, który cię może pochwycić, ani imienia miłości, ani nazwiska szczęścia; bluźniłbyś! Ja ci powiem jak się to nazywać powinno — rozpustą.

— Niestety! dodał po chwili Sławski. rozpusta przejada świat do kosci, jej wyłącznie przypisać należy spodlenie, upadek rodzaju ludzkiego. Właśnie w imię tej idealnej miłości niebieskiej, klątwę rzucam na to co z niej dziś zrobiono. To połączenie serc, które powinno być wielką i świętą, nroczystą chwilą życia, zmieniono na zwierzęcą swawolę, nie przebierającą w niczem, byle się rozpasana nasyciła. Nikt kochać nie umie, i potem dziwią się, że szczęścia niema nigdzie, z małżeństwa zdarto to, co stanowiło jego nrok i świętość, ze związków dusz zrobiono bydlęce.

— Dosyć, przerwał Orbeka. przyznaję ci słuszność, ale dlatego że nam przypadło żyć w tej epoce zepsutej, mamyż się wyrzec jednych lepszych chwil życia?

— Pozwól sobie powiedzieć, że się słabo nader bronisz, albo raczej słowo tylko rzucasz bez myśli. Widok tej kobiety roznamiętnił cię, a namiętność nie słucha już ani rozumowań, ani argumentów. Ja cię kocham, ja cię żałuję, a przewiduję twój upadek.

— Cóż mi radzisz? spytał Walenty.



— Wyjeżdżaj, pakuj się. napisz list. przepros. ja za ciebie pójde na obiad jutrzejszy.

— Zobaczymy! odparł cicho Orbeka... Dobranoc ci.

— Słowo jeszcze. mam przyjść jutro rano... aby cię odprowadzić?

— Tak jest. namyśle się, jutro rano czekam... cię jutro rano. Dobranoc.

Z bolescią nściśnął rękę przyjaciela Sławski, i odszedł powoli. ale się jeszcze raz zawrócił do Orbeki.

— Daruj mi, rzekł, podając dłoń raz jeszcze. mówiłem z tobą nadto dno otwarcie. rzeczy przykre; здавало mi się to obowiązkiem; kocham cię. przykro by mi było, gdyby to przyjaźń twą dla mnie zachwiać miało.

— O! nie. nigdy. zawołał rzucając mu się na szyję Orbeka, w duszy mojej, tam głęboko. każdy wyraz twój oddźwięk znalazł. Ale słaby jestem. nad wyraz słaby... Czuję że masz słusność. że ja mieć jej nie mogę, a jednak. .

— Więc wyjeżdżaj jutro.

— Zobaczymy.

Uścisnęli się i rozesli. Sławski poszedł ku Żelaznej Bramie Walenty skierował się w stronę przeciwną ku Krakowskiemu Przedmieściu. Stał jeszcze naówczas w Saskim ogrodzie pawilon później zburzony, w którym przechadzający się znajdowali chłodzące napoje i łakotki. Choć późna już była pora, jasniali jeszcze światłami. i wesołe towarzystwo snuło się koło niego. Wiele osób z teatru wysunęło się tu na przechadzkę, gwar i śmiechy słyhać było wśród rozsta-

wionych krzeseł, które wielkie zakreślały koło. Na siedzeniach tych pełno było pait strojnych, w pośrodku mnóstwo panów, którzy się koło nich kręcili, przynosząc limoniadę, orszadę i cukierki.

Orbeka wracając musiał mijać to koło i zboczył nieco w ciemną aleję. Pomiedzy nią, a ostatniem krzesłem właśnie tyle zostawało wolnego miejsca, ile na jednego przechodnia było potrzeba. Walenty nie patrząc przed siebie, ze spuszczoną głową wymykał się tym wązkim przesmykiem, gdy uczuł że go ktoś z lekka za rękaw od sukni pociąga. Zdziwiony podniósł głowę i o mało nie krzyknął z przestachu. ujrawszy przed sobą piękną Mirę, która mu się usmiechając, opróżnione obok siebie pokazywała siedzenie.

— Siadaj że mi pan tu zaraz, siadaj, bo oto ten nudziarz stary zajmie krzesło, a ja go nienawidzę.

— Pani mnie poznałaś? rzekł siadając schwycony Walenty.

— Ale któżby przybyłego ze wsi, choćby najprzystoitszego człowieka, nie poznał w Warszawie? rzekła śmiejąc się piękna pani; a potem, bez pochlebstwa, rysy jego twarzy, od czasu jakim go widziała grającego Sonatę Beethowena, ani na chwilę mi się zapomnieć nie dały.

— A pani! wybełkotal Walenty zmieszany.

— To — ach... jest pełne znaczenia, przerwała mu kobieta, nie prawdaż? to ach! — oznacza, że mi pan nie wierzysz, że masz za pochlebnicę — *tranchons le mot*, za załotnicę. Taką zapewne odwałowali mnie panni ludzkie... A! z początku złosliwe języki ranily mnie bardzo, ale się do wszystkiego, nawet do ran przywyka. Wiem, że mam straszną sławę ko-

kietki, wietrznicy. Sądź pan o mnie jak chcesz... ale niepotępiaj na słowo ludzi... zawczasu.

— Ale pani — przerwał Orbeka. próżno usiłując zebrać myśli i przyjść do słowa.

— I to — ale, niepotrzebne. zawołała Mira. bo nieuwierzę zaprzeczeniom. Jużciż ani pański przyjaciel. ten zacny Sławski. purytanin. nie mógł pann o mnie nic dobrego powiedzieć. ani nawet moja kochana rodzina... niestety! ja nie mam przyjaciół... Westchnęła.

— Masz pani wielbicieli za to... rzekł po cichu Orbeka.

— C'est ennuyant wielbiciele. Wystaw pan sobie los nieszczęśliwej kobiety. którą oblega hołdami grono takich, jak o to ten co stoi i czatując na boku, fireyków. jak ów w popielatym fraku. dowcipnisiów bez serca. jak tamten zielony z guzami stalowemi... tutti quanti! A cały dzień słuchać ich hymnów do słońca, wiedząc. że wieczór pójdą do jakiejś Joasi lub Marysi z resztkami tych komplementów... a! fi!

Walenty spuścił głowę.

— Pan się boisz spojrzeć na mnie czy co? szepnęła Mira... nie widzę pańskiej twarzy i to mnie niepokoi. bo posądzam ją o usieniech szyderski.

Orbeka podniósł oczy nagle i spotkał wejrzenie ogniste. nielitościwe kobiety, która z rodzajem prawie bez wstydu mówiła mu oczyma. czego sercem dotrzymać nie mogła.

-- Nie dziwny się pan. poczęła szeptać powoli. małnsią swą rączkę kładąc na jego ręce. że tak pana chwytam. łapię, aresztuję na drodze. ciągnę. Nie tłómacz pan sobie tego za złe. proszę. Ja się przyznam

mnie i ci ludzie i to towarzystwo piekielnie nuży, jestem jak ktoś, co ciągle zjada proszono obiady przez jednego gotowane kucharza, i w końcu rzuca się chciwie na kawał zdrowego razowego chleba. Pan jesteś dla mnie tym wiejskim chlebem razowym zdrowym i posiłnym, nie zepsuło cię miasto. nie wywietrzała z was woń człowieka, macie serce...

Tu umilkła. Walenty był oczarowany, myśli ucieczki i odjazdu daleko pierzchnęła; kobieta po chwili mówiła dalej.

— Ja lubię być aż do nieprzyzwoitości szczerą. To moje sympatyczne nsposobienie dla pana wydać się może wam. po tem coście o mnie słyszeli. bardzo podejrzanem? Wyście bogaci, ja uchodzę za chciwą i rozrzną; naturalnie posądzić mnie można o interesowność. Ludzie gotowi myśleć. że znów bym się za męża wydać chciała!

— Tu w Warszawie, odpowiedział głosem drżącym Orbeka, wątpię by to komu na myśl przyjść mogło. znają mnie dawniej. wiedzą. że byłem żonaty i że dotąd za żonatego się uważam.

Na te słowa wypowiedziane mimowoli, Mira aż się cofnęła z krzesłem. ale prędko zdziwienie swe pohamowała.

— Cóż to za tajemnica? spytała.

— Nie jest to tajemnicą żadną ludzie tylko może zapomnieli o tem. jako o rzeczy małej wagi. Tak jest pani. byłem żonaty. byłem zdradzony. żona moja zmusiła mnie do rozwodu... wyszła za męża.

— A więc pan nie jesteś żonaty? spytała żywo Mira.

— Owszem pani, — ja to inaczej pojmuję, kto raz był żonatym, ten jest nim na zawsze.

Zimno, dziwnie uśmiechnęła się piękna pani.

— Do tej tajemnicy, dodał powoli Orbeka, dodać muszę, ponieważ jesteśmy w chwili zwierzeń poufnych, że pani uczyniłaś na mnie od pierwszego wejrzenia nadzwyczajne wrażenie.

— Ach! uśmiechnęła się Mira.

— Podobieństwem niesłychanem do tej, którą... Nie mógł dokończyć.

Smutno jakoś piękna rozwódka zagryzła usta i potrząsła główką.

— Mówisz mi pan rzecz nader nie miłą, odpowiedziała. — to podobieństwo odbiera mi cały urok nowości, który jest potęgą... jestem panu istotą znaną, nienawistną, cierniem zdrady, przypomnieniem bólu...

— I zawiedzionych nadziei...

— Ale mówże mi pan szczerze, spytała, jakie to podobieństwo obudza w nim uczucie?

— Smutek wielki, i urok wielki.

Błysnęły piękne oczęta, rozśmiała się.

— A! to dobrze, zawołała, jesteśmy więc dawni znajomi, rozpoczniemy starą historję od tego miejsca, na którem w nieprzyjemny sposób przerwana została.

Zarumieniała się nieco, obracając to w śmiech i żart.

— Na coś mi pan to powiedział? dodała, teraz sama nie będę wiedzieć jak być z panem.

— O! na Boga, bez namysłu, bez rachuby naturalnie, przerwał Orbeka.

— Tak? spytała patrząc mu w oczy... dobrze... podaj mi pan rękę i odprowadź mnie do powozu, który stoi na placu. Tracę tylko Lullier, która tak się zaga-  
dała. że mnie już nie widzi. bo ją zabrać muszę. Eh  
bien Lulu! jedziemy! Lullier wstała przeprowadzona  
przez poważnego mężczyznę. Mira puściła ich przodem,  
sama sparła się na rękę Orbeki, a raczej uchwyciła się  
jej i szepcząc mu na ucho. co jej tylko przeszło przez  
głowę, pojął go, swawoląc doprowadziła do karety.

— Dobranoc, zawołała. wychyliwszy się doń jeszcze.  
ale pamiętaj że pan. czekam go jutro z obiadem.

Ciszej szepnęła.

— Będziemy prawie sami!

Walenty po jej odjeździe uczuł jakby włókł za  
sobą kajdany — ale — był szczęśliwy!!

## ROZDZIAŁ VI.

Oczekując na przyjście Sławskiego, Orbeka trapił się zawczasu wymówkami jakie miał słyszeć od niego, szukał napróżno argumentów którymi by mógł zbijać, głosu. którymby go rozbroił: ale Sławski nad wszelkie spodziewanie nie zjawił się rano. dopiero przed samą godziną obiadową, przyszedł ubrany w mundur... zamysłony i smutny.

— Wiedziałem. rzekł w progu. że nie wyjedziesz po cóż daremnie miałem cię męczyć. Wczoraj wieczór wzruszony, chociaż chciałem już wrócić do domu. nie mogłem na sobie wymódz uspokojenia i wszedłem przechadzać się sam po Saskim ogrodzie; widziałem cię siedzącego przy tej czarownicy, szpiegowałem. gdyś ją do karety odprowadzał. Potem już nie wątpiłem, że pozostaniesz.

Walenty w milczeniu nścisnął rękę przyjaciela

— Lituj się naemną — odpowiedział. ale mnie pozostaw losowi.

— Dziś już milczę — odezwał się Sławski. zdaje mi się. że rozmawiać z tobą byłoby zapóźno. Masz słyszność, żal mi cię serdecznie; jesteś skazany na ciężkie bóleści. Znasz tę kobietę. wiesz co tylko wiedzieć o niej można. możesz sam przewidywać co cię czeka i spotka niechybnie... Stało się...

Zamilkli; Orbeka wziął kapelusz i wyszli razem ku mieszkaniu Miry.

Milczący doszli do sieni przedzielonej drzwiami szklannymi. z po za których widać było kwiatami i zielenią ubrane schody. Ta wonna droga zaprowadziła ich na pierwsze piętro, lokaj w liberyi galonowanej, herbownej. stał u wnijscia. Wszystko zapowiadało dom na wielkiej stopie, lub przynajmniej chcący za bardzo pański i wytworny uchodzić. Ale zarazem czuć było we wszystkim co otaczało jakąś krnchość. coś przybranego. nie swojego... W pokojach. które przechodzili, pełno było pozostałości wielkiego dawnego przepychu, resztek różnorodnych wspaniałych, drogich. pomieszanych ze sprzętami nader pospolitemi. W całym przybraniu apartamentu harmonii żadnej, nieładu ukrytego wiele. Pomimo to mieszkanie. jak pani, miało jakiś wdzięk pociągający. jakiś urok swobody. coś nęcącego jak nierozwikłana tajemnica. A czegoż w niem nie było! Bronzy. alabastry. mozaiki. obrazy. posągi, antyki. gobeliny, porozrzucane kosztowne księgi. poplamione, powiędłe bukiety, miniatury, sylwetki. Fantazya nieublagana tej kobiety w chwili gorączkowych zachceń zgromadziła te cacka i skarby. aby jutro rzucić je w pył i obojętnie zapomnieć.

Ten chaos pamiątek nie poszanowanych. to emen-



tarzysko żywota namiętnego przedstawiało się obcemu na pierwszy rzut oka. dosyć wesołem i ciekawem. Jakiś instynkt mimowolny umiał to wszystko nie myśleć ustawić tak, by oryginalnością pociągało. Znać było charakter kobiety nie myślącej o jutrze płynącej z wodą na łosy, w najmniejszych drobnostkach... wczorajsze jej szczęścia, już dziś pył pod kanapą zasypał. Nieocenione skarby. okryte pocałunkami niedawno. walały się po kątach. jak opuszczeni kochankowie. Kwiaty egzotyczne, okupione może uśmiechem i łzami. wiedły niepodlewane, kosztowny szal turecki zwinięty w kłęb, wypełniał jakiś niewygodny róg kanapy. Książki w oprawach drogich widać było porozpłaszczane na krzesłach. Łoże Rafaela służyły do podwyższenia zbyt niskiego siedzenia przy fortepianie. Pamiątka kilkomiesięcznych gorączek, arfa. na której się grać uczyła pani, z porwanymi strunami osmutniała spoczywała w kącie na pokucie. choć niedawno kilkakrotnie dukatami opłacono jej sprowadzenie z Paryża, a z niecierpliwości dobywając. pakę kazano porąbać w kawały.

Tak wszystko...

Na chwilę przed przybyciem gości, zaprzątniono się w pokojach. aby je nieco do porządku przyprowadzić, ale ten ład był pośpieszny i powierzchowny, z po za niego przeglądało długie zaniedbanie.

Świeże kwiaty źle zasłaniały powiedle, a wonne kadzidło mieszało się do jakichś dziwnych wyziewów pyłu razem i wilgoci. Zbytek prawie królewski na jednej ścianie. sprzeczał się z niezrozumiałymi kłamstwami. użytymi do osłonięcia nagości drugiej.

Orbeka. T. I.

Idąc weszli. nie było jeszcze nikogo w pokojach. choć się godzina obiadowa zbliżała. kilku lokajów przesuwano się niespokojnie i pośpiesznie. jak gdyby nie wszystko jeszcze było gotowem.

Przewidująca gospodyni, dopiero na pół godziny przedtem wychodząc się ubierać. przypominała sobie mnóstwo nieodzownych rzeczy. których do obiadu brakło. Chciała ona obiad uczynić wytwornym. ale lubiąc we wszystkim przepych i epikureizm. najmniej była zdolną wygospodarować je sama. Musiał to ktoś za nią robić. Wczorajszy w loży widziany młodzieniec z Hornim. wysłany na miasto. miał jeszcze dostarczyć niektórych łakoci i przyborów. które dla zwyczajn i tonu, dla pokazania gościowi dostatku, mieć było nieodzownie potrzeba.

W saloniku do którego weszli. cisza była. ale spręty zdawały się bałasować. tak jakos w niezgodzie były z sobą. Drżący. przejęty Orbeka usiadł pod wrażeniem jakie zawsze czyni na mężczyznę gniazdka kobiety. która go za serce pochwyciła mimowolnie: czytał on w tem co ją otaczało historią życia. oczy i myśl traślały na przykre wyznania. a namietność usiłowała je sofistycznie wytłómaczyć, na piękno i dobro. a jednak serce mu się sciskało. Sławski, który raz pierwszy był w mieszkaniu ex-podczaszynej, znajdował w niem wymowne potwierdzenie swoich domysłów. Szyderskie pół-uśmiechu błąkało się po jego twarzy.

Zaszeleściła suknia, dwaj goście się porwali zwracając ku drzwiom, ale wchodząca strojna i piękna pani, nie była gospodynią domu. Była to ta sławna Fuller, trochę trzpiot. wielce zręczna, a nadzwyczaj

czaj miła istota. która w ówczesnem towarzystwie tak przeważne i od wszystkich uznane umiała sobie wyrobić stanowisko.

Lullier służyła dobrze swym rywalkom. nawet nieraz tak rozległe miała stosunki. taką łagodność i wyrozumiałość. taki dar przymilenia, że ją wszyscy lubili, a nieraz w bardzo trudnych i ważnych interesach, ona służyła za pośrednika.

To też Lullier bywała przyjmowaną i dobrze widzianą wszędzie. Znajdowano ją w najwyższych sferach i w najskromniejszych towarzystwach. wysługiwała sobie biedaczka spokój. bezkarność. pobażanie. Co w duszy jej mieszkalo. na co jej to wszystko było potrzeba okupywać tak drogo, któż zgadnie? Była wesoła zawsze tak, iż posądzać się ją godziło. że w duszy musiała mieć tą maską zimną pokryty smutek wiekuisty. A spełniała swe obowiązki gorliwie. serdecznie. była na posługi wszystkich pań, nawet gdy co u swych mężów wyrobić chciały. posłem. pośrednicą, listonoszem, korespondentem, donosicielem, jedyna kredyt. pożyczka pieniędzy, wypowiadała miłość odprawionym kochankom. przychodziła z oznajmieniem zdrady do pan. które opuszczano.

Lullier była jeszcze piękną. ale tę pięknosc winna była sztuce już po części i niezachwianemu spokojowi, z jakim wiodła resztę życia. Śmiała się wprawdzie, ożywiała. oburzała, twarzyczka jej marszczyła się delikatnie czasem, zarumieniała lekko bladła. ale te wzruszenia nigdy nie dochodziły do głębi. Grała spokojnie. ziewając i nudząc się komedją życia. obojętną. oklepaną. której wszystkie sceny dawno umiała na pamięć.

Aleśmy za długo zatrzymali się w progu z piękną panią, po której w ślad nadbiegł Hornim. adjutant służbowy gospodyni domu. Koszyki jakieś i pudełka oddawszy w przedpokoju. zjawił się, jakby dopiero po raz pierwszy przybywał. chociaż od dziesiątej z rana pełnił swe obowiązki.

W saloniku ożywiło się nieco. a po dziesięciu minutach oczekiwania, nadbiegła wreszcie zdyszana. zapinając na sobie rękawki koronkowe, piękna Mira. z przeprosinami do gości.

Była wystrojona do twarzy. ufryzowaną cudownie i tak młodą, że Lullier aż krzyknęła zdziwiona, witając ją na progu. Wyglądała na piętnastoletnią dziewczeczkę. Róża u boku i róża we włosach nie były świeższe nad nią. Oczki się jej świeciły niecierpliwością, zniecierpliwieniem. żądzami. marzeniami.

— A! przepraszam. stokrotnie przepraszam, moich najmilszych gości. zawołała. po przywitaniach rzucając się na kanapę zmęczona — ale co to jest być gospodynią domu. kiedy do tego Pan Bóg nie stworzył.

Duszno było w saloniku, otworzyła okno. do czego Hornim dopomógł i nic nie mówiąc, długiem wejściem zbadała Orbekę, jak żeglarz. który zapuszcza sonde, nurtując morze. czy się na niem okręt utrzyma.

Z góry moich gości przepraszam za obiad — dodała — nie gardzę ja dobrym obiadem. ale niestety! sama go nawet zadysponować nie potrafię. Nie mam tego talentu gospodyni, którym się inne panie odznaczają. Do gotowego siadam z przyjemnością, ale... gdyby nie łaskawy kuzyn.

Wskazała na Hornima, któremu zdaje się, że nadała nazwisko to, aby wytłómaczyć jego stanowisko w domu.

Młody człowiek zarumienił się, zmięszał trochę. gdy we drzwiach kamerdyner z serwetą oznajmił, że obiad był na stole.

Chwilkę stała zakłopotana pani domu, myśląc, jak tą procesyą ceremonialną do jadalni rozporządzić. nie życzyła sobie odstąpić Orbeki pani Lullier, a jej trzeba dać jako kobiecie pierwszeństwo, które wołałaby była przyznać milionowemu niewolnikowi swemu.

Wykręciła się z tego bardzo zręcznie.

— Panie Sławski. jako lepiej znajomy. podaj pan rękę Luli. ja poprowadzę mego ziomka.

Sławski posłuszny. posunął się ku pięknemu posagowi nśmiechniętemu już do niego i z gracyą podającemu rękę, pani Mira porwała Orbekę i pochyliła swą świeżuchną twarzyczkę ku niemu, szepejąc na ucho, oblewając gorącym wonnym swym oddechem. Czuł ją przy sobie i drżał biedny człowiek, z ust słowo mu się dobyć nie mogło, tak był upojony.

Za dwoma parami, z głową spuszczoną, powlókł się świeżo kreowany kuzynem. Hornim.

Salka jadalna była krągła, biała ze złotem przyozdobiona. stół błyszczał kryształami, bukietami. gdzie niegdzie kosztowny okrucz starego serwisu srebrnego się okazywał. Ale każda sztuka od innej zdawała się oderwana całości.

Okolo Lullier siadł z jednej strony Sławski. z drugiej Orbeka, dalej naturalnie Mira. przy niej na podoręczu Hornim.

Obiad, mimo zapowiedzi gospodyni, był wytwor-  
ny, nie gotował go wprawdzie Tremo, ale pierwszy  
jego uczeń na ten dzień uproszony.

Umiejętna też ręka wybrała wina z najlepszych  
piwnic stolicy, w której najdoskonalej zaopatrzone  
w świecie znajdowały się lochy, Orbeka, który był  
przywykł do swego życia anachorety, do szklanki wo-  
dy, a czasem kieliszka lekkiego wina, uląkł się natar-  
czywości, z jaką mu nalewać zaczęto i zmuszać do  
picia.

Szczególniej troskliwą o to była piękna gospo-  
sia, która wiedziała może, że wino śmiałym czyni, że  
rozwiązuje usta, że żywiej każe bić sercu — i że po  
rozbudzeniu, człowiek zachowuje pamięć snów swoich.  
Niepodobna się było bez niegrzeczności oprzeć nale-  
ganiom. Hornim wstawał z faszka, nieodchodził od  
krzesła, a słiczna rączka Miry, sama też z wdziękiem  
Heby nalewała nektar.

— A! ta rączka!

Jaki wdzięk i urok, jakoby tajemniczą siłę nie-  
wysłowioną ma ręka kobieca! Najpiękniejsza, najmil-  
sza z nich, jeżeli nie ma pięknej ręki, jest istotą nie-  
dokończoną. Ręka mówi, ręka dopełnia wizerunku  
charakteru, ręka jest tajemniczem godłem, które sku-  
pia w sobie cały wizerunek istoty.

To też piękna prawdziwie ręka, ręka rozumna—  
bo są ręce rozumne, ręka czuła—bo są czule, ręka po-  
sągowa, idealna, bywa tylko udziałem bardzo nie-  
wielu.

Ręka to genealogia kobiety, świadectwo jej  
przeszłości, przepowiednia przyszłych losów. W niej  
od miękkiej epidermy co ją pokrywa, od barwy co ją

krasi, od różowego pazurka do najdrobniejszego szczegółu, wszystko ma dla badacza niezmierne znaczenie. Jest-to hieroglyf, w którym przedstawienie jednej drobnej kreski, zmienia wyraz całości. Zdaje się, że dosyć pięknej rączki, aby najbrzydsza kobieta wydała się zachwycającą. gdy bez niej—anioł piękności, zda się brzydkim.

Dla czego Bóg w tych pięciu paluszkach do różowej przyczepionych dłoni pomiescił tyle? to jego tajemnicą.

Ze stanu barbarzyństwa powoli wychodząc człowiek, gdy od pracy mechanicznej do coraz uszlachetniającej go bardziej postępuje, — traci powoli rękę pierwotną nieledwie podobną do rozszczepionej lapy zwierzęcia, do kosmatej pięści goryla i wyrabia rękę intelligentną, rękę czulą, zręczną, silną razem i piękną. Tylko plemiona dawno wykształcone, mogą mieć te ręce, które podobało się nazwać arystokratycznymi. a które są rękami nerwów i rozumu, bo ręka nie przychodzi od razu. na nią jak na typ twarzy pracują plemiona i pokolenia.

Dziwna rzecz, że w człowieku naprzód się wyszlachetnia oblicze. naprzód wypiękniają rysy twarzy. a na ostatku ręka.

Są całe narody. jak niemiecki. których rysy fizyognomij już są cywilizowane. a ręka jeszcze rzeźmieśniczą i ziemską.

O ręce ludzkiej. księgi by pisać można; nie dziwujemy się wcale chiromancyi, bo chiromagowie czytają w dłoniach, a nie w oczach. To pewne, że kto ręki człowieka bacznie nie obejrzał, ten go jeszcze nie zna. Jeden

wszetecznie brzydki palec odstręcza i przestrzega, będzie tam wszystko piękne. a coś ułomnego w charakterze, gdzie ręka jeszcze kaleka. Kto się nad tem kiedykolwiek zastanowił, nie posądzi nas o przesadę.

Rękę wykształconego człowieka. Bóg dał jako przestrogę dla ludzi, aby go po niej poznali. jestli całym takim, jakim się wydaje.

Mira miała ręce precudne. pociągające, białe. drobne bardzo z dłońmi jakby tenną pomalowanemi na czerwono, ale wpatrzywszy się w nie. rączki te przstraszały. Były suche, zimne, elastyczne, a bez czucia. Właścicielka, mimo starannego utrzymania ich. nie mogła się powściągnąć w chwilach niecierpliwości, od pogryzienia i poodzierania ich nieco. Baczniejszemu mogło by to było coś powiedzieć o charakterze, ale Orbeka widział tylko sympatyczny krój tych rączęt ruchawych, świeżych. pulchniutkich, a zręcznych jak łapki wiewiórki.

Niewiadomo jakich środków tego dnia użyła Mira. aby się stać jak mówił—irresistible, to pewna. że była zachwycającą, i że po niej nieznac było najmniejszego starania, wysiłku, pracy około podobania, się, była cudownie naturalną. dziecinnie naiwną.

Potrafiła też rozpoić winem i wejrzeniem Orbekę nowa Circe, i zrobić z niego posłuszną sobie istotę. Mówił. uśmiechał się. czuł, jakby rozmarzał po długiem zziębnięciu.

Mira trochę niegrzecznie zapomniała o wszystkich nawet o knzynie Hornimie, cała się oddając przybyszowi, na którego doprawdy tak wielkich zachodów nie potrzebowała. Biedny człowiek, był



już podbity, związany i przygotowany na niechybną zgubę.

Pani Lullier, która mimo uwagi gospodyni uczynionej przed obiadem, bardzo zdaleka tylko знаła Sławskiego, i nie czuła najmniejszej ochoty zbytecznie się doń zbliżać, widząc się wreszcie osamotnioną, bo Orbeka nie przemówił do niej nawet. zawiązała rozmowę z sąsiadem. Hornim się bawił butelką, nie miał z kim.

Zrazu pani Lullier trochę lekko traktowała Sławskiego. sądząc, że ma do czynienia z jedną z tych istot podrzędnych bez inteligencji. z którą rozmowy, do jakich ona przywykła, poprowadzić nie będzie możliwa, ale po kilku słowach. postrzegła, że się omyliła. Lullier była istotą zużytą i błodną, ale jeszcze dowcip i rozum czynił na niej niejaki wrażenie.

Zwróciła się więc z przyjemnością do Sławskiego, widząc, że ją rozumie.

W kilku słowach. poufalsza rozmowa pół cicha się zawiązała.

— Cóż pan mówisz. o tej parze tak zajętej sobą? spytała go po chwili. Powiedz mi pan, bo ja się nie od niej dowiedzieć nie mogłam. dawno się oni znają?

— Ten pan. zdaje mi się. drugi czy trzeci raz w życiu ją widzi, odparł Sławski. ale są fatalności i sympaty.

— A! rozśmiała się Lullier, wierzysz pan w te baśni stare? O! mój panie te czasy gdy kobieta w tłumie. nie znając mężczyzny, nie wiedząc kto on jest. mogła się nagle w nim rozkochać — bezpowrotnie minęły. Tak mi się zdaje I wy się nie kochacie i my się nie umiemy kochać Nowość ma urok chwilowy.

jak dzieci i szukamy zabawki, a gdy rozbiwszy ją, w środku znajdziemy kłaki lub otręby. rzucamy.

— Ale czyż zawsze tylko te rzeczy się w zabawkach znajdują? spytał Sławski.

— Prawie zawsze, odpowiedziała Lullier. Ale, powiedz-że mi pan, dodała bardzo do cichn, nieprawdaż iż jest niezmiernie bogaty?

Sławski się uśmiechnął prawie szydersko.

— Jeżeli pani tylko odgadniesz, rzekł, to masz prorocze wejrzenie, przed kilku tygodniami zaledwie odziedziczył on spadek ogromny.

— A! zawołała Lullier — i spojrzała z niosa na Orbekę, jakby sama siebie próbując, czyby dlań czuła być potrafiła.

Odmalowaliśmy nieco już bohatera naszego. był to człowiek nie młody, nigdy nie można go było nazwać pięknym: miał jednak w fizyognomii coś smutnego miłego i co zowią sympatycznym. Mówiła o niej wielka rezygnacya i łagodność. Zresztą, twarz miał jedną z tych, co nie są zbyt świeże w młodości, ani zbyt się zasepiają i grzybieją na starość. Kobiecie mógł się podobać od razu, ale można się doń było silnie i na wieki — mając serce przywiązać. Orbeka był do zbytku uczuciową istotą, choć się z tej choroby całe życie rozumem wyleczyć starał.

Tak przeszedł obiad, którego gastronomiczną wartość, jedna tylko chłodna Lullier smakoszka i znawczyni, ocenić była w stanie.

Inni goście nadto byli zaprzątuieni. Hornium zjadał się zazdrością, choć go czasem dolatywał uśmiech Miry, na zlagodzenie jego bólów wysłany;

Sławski bawił się dowcipną sąsiadką więcej niż półmiskami, a o reszcie mówić nie potrzebujemy.

Kieliszki z ręcznie mieniane jedne ustępowały przed drugiemu, wina się mieszały. naostatek przyszły Tokaje, deser i ruszono się od stołu w tym stanie rozbudzenia, wesela, błogości, który sprawia zawsze dobry obiad w towarzystwie przyjemnem.

Lullier podała rękę Sławskiemu, scisnąwszy z uśmiechem dziwnym dłoń przyjaciółki. uśmiech ten był tak wymowny, że się Mira zarumieniła — gospodynią ujął sam już Orbeka. Hornim znówu stanował aryergardę samotną i smutną. Na pociechę był dobrze podchmielony i jako kuzyn domu (świeżo kreowany) po drodze sobie nucić pozwolił.

Do salonu przyniesiono czarną kawę w tureckich prawdziwych knbeczkach, na figlranowych podstawkach.

Hornim nie miał nic lepszego do zrobienia, jak wyjść na balkon i pochylić się smętny na jego poręczy, rozmyślając o znikomosci miłostek kobiecych. Lullier sądziła, że będzie grzeczną gdy odciągnie Sławskiego, w kątku salonu pozostał Orbeka i Mira, zasłonięci na pół kilku zielonemi wazonami. Cichym szeptem płynęła rozmowa, obojgu jakoś było dobrze a tyle sobie mieli nieskonczenie ciekawych do powiedzenia rzeczy.

W tem, wśród tej ciszy błogiej, od przedpokoju zaleciał szum i hałas niezrozumiały. Gruby jakiś tubalny, ochryply nieco głos męzki, zdawał się sprzeczać ze sługami i zbliżać zwolna ku salonowi. Słysząc już było ciężkie po posadzce stąpanie, straszne jak chód posągu Komandora w Don-Żuanie.

Mira zawsze nadzwyczaj drażliwa zaledwie to

doszło jej ucha, pobladła, oczy jej zaiskrzyły się, zerwała się z siedzenia i pobiegła ku drzwiom, jakby usiłując zapobiedz. jakimś niemiłemu a nie w porę zjawisku.

Ale zaledwie kilka nbiegła kroków, głos ten doszedł już wyraźniejszy do salonu.

Widocznie gospodyni usiłowała pozbyć się jakiegoś natrętnego przybysza. który się wpierał gwałtownie.

— Ale dlaczegoż nie mam wejść, Mirciu kochanie. amonr cheri! wołał za drzwiami ów nieznany gość.

A po chwili.

— No. to co?—to co? gdybym i był nieco podchmielony. ależ je suis de bonne société, głupstwa i nieprzyzwoitości nie zrobię.

— Ale puszczaj-że! co to jest! J'ai donc mes entrées i nie darmo. Salonu mi zabronić nie możesz. kiedy...

Ta mowa jakby przyłożeniem dłoni do ust zata-mowaną została. a po chwili nazad gospodyni wbiegła do salonu, przestraszona, pąsowa. i padła przy Orbecie na krzesło.

— A—co za nieznośna awantura.. rzekła z pośpiechem. człowiek... którego cierpieć nie mogę... natręt... i zawsze podchmielony... i taki grubianin... a! przepraszam pana... Ale gdzież Hornim?

Nim jednak Hornima z balkonu przywołać się udało i tych wyrazów dokończyć. na progu ukazała się postać całę oryginalna.

Był to mężczyzna nie młody, w pernce, na której niezgrabnie włożony chwiał mu się kapelusz trójgraniasty: nbrany po francuzku. przy szpadzie. z żabota-

mi koronkowemi. z palcami błyszczącemi od pierścieni, z twarzą czerwoną. obrzękłą, widocznie opiłą. usty obwisłemi, oczyma załzawionemi. prawdziwy typ starego birbanta. Chociaż się opierał na trzcinię z gałką złotą, chwiał się na nogach. Oczkami sztydersko przymrużonemi, powiódł po zgromadzeniu.

— Bonsoir la compagnie! rzekł grubym głosem. A cóż to za jeden? spytał. wskazując laską Orbekę. Ale laskę podniosłszy, musiał się pochwycić za uszak.

— A diable! wino kapitalne i do głowy szturmujące nie żartem u tego naszego amfityryona. Pardon! wracam z obiadu. A je viens cuver mon vin, chez la bonne petite Mira.

To mówiąc. doszedł jakoś do krzesła, i padł na nie całym ciężarem. aż się meble zatrzęsły.

Nie trudno się było domysleć. że człowiek. który w takim stanie. tak śmiało wchodził do kobiety, musiał do tego mieć jakieś prawa.

Czuła też Mira jak ją zabijało to zjawienie się opilego dygnitarza. Ale — był to jeden z jej adoratorów, którego niegdys dobrze pono podskubała, który jeszcze niekiedy dawał sobie po piórku złotem wyrywać. Cóż tu było z nim począć?

Z nadzwyczajną beczelnością. pochyliła się Mira do ucha Orbeki.

— A! przepraszam pana. to szambelanic. krewny mój. smutny człowiek, z tą rodziną! o mój Boże! on abuse de notre faiblesse, nie miałam nigdy odwagi dać mu odprawy. Jest-to człowiek. którego nienawidzę. Proszę pana. w takim stanie przyjsć do kobiety!

Orbeka już oslepiony. nbolewał tylko nad losem Miry, ale nie zaczytywał się w głąb tej katastrofy.

Tymczasem Hornim wywabiony z balkonu. wszedł i może nie bez pewnego uczucia nasyconej zemsty, ujrzał szambelanica. którego traf sprowadził. dla rozczarowania czarowanego tak usilnie Orbeki.

Przybyły postrzegł go.

— A ty! tu także? prawda! ty tu teraz na służbie! Gdzież la petite? kto tam z nią? c'est du nouveau?

Ruszył głową.

— Mircin. odezwał się. przecież kiedy stary przyjaciel przychodzi, przez pamięć. jeśli nie jego serca, to jego wypróżnionej kieszeni. godzi mu się usmiechnąć. Ou est-elle? za wazonami. Znam ten kątek, ale mnie tam bywało ciasno.

Lullier zrazu trochę także rozsmieszona tą awanturą. ulitowała się nad przyjaciółką.

Gruby gość spojrzał na nią. pogroziła mu na nosie.

— A! pani tu! przepraszam. nie postrzegłem. Macnął się po głowie. Wszakże wszedłem w kapeluszu, ale tu. to wszystko mi wolno. Mira est une bonne petite.

— Ale cichoż. na Boga! tupiąc nogą, odezwała się Lullier. szamuj że...

— No. ba! co mam szanować? he? ciebie? farceuse? czy ją? czy tych co tu bywają? pardon!

Szambelanicu, krzyknęła Lullier. je vous ferai mettre à la porte.

— No! spróbujcie, na to potrzeba czterech ludzi. a tylu ich nie macie. chybabyście pożyczyli zkąd?

Cóż ci się stało? spytała Lullier. czyś oszalał?

— Ale nie. byłem na obiedzie u N. Ha? czy to tylko był obiad? a! nie. to było śniadanie tak, i pilismy... popiliśmy się. Wychodząc ztamtąd... Któż mnie tu przywiózł? A! przyjaciel... pomyślałem sobie. dokąd iść do domu. nienchodzi. Syn mógł mi wyprawić tę sztukę co Chiam Noemu. byłbym przymuszony go przeklinać. a to nieprzyzwoicie. Myślę sobie. a dokąd-że? jeżeli nie do małej tej Mirci. którą kocham. A! słowo honoru. dziś odmłodzoną czuję miłość moją...

Lullier targnęła go za rękaw. i podarła koronki.

Popatrzył na rozszarpnięty mankiet.

— Nie racya. żebyś mi psuła brabanty moje. które drogo kosztują. Lulu. dajże mi choć rączki. gdy Mira zajęta. no! daj! niewiesz jak po winie smakuja pa-luszki kobiece. no! daj! nie ukaszę!

Luiller. śmiejąc się. podala mu rękę. a stary przypił się do niej i westchnął. potem głowa zwolna pochyliła się na piersi. ręce na poręczce. i. osuwając się w fotel z uśmiechem na ustach — usnął.

Hornim spoglądał na to obojętnie. Sławski ze wzgardą. której wcale nie myślał ukrywać. Lullier z jakimś politowaniem szyderskiem. Biedna gospodyni płakała. a te łzy z oczek przed chwilą błyszczących zalotnością i weselem. rozbroiły Orbekę. który całego znaczenia wypadku. w prostocie ducha. nie pojął nawet.

Widząc zakłopotanie ogólne, Sławski wziął za kapelusz i skinął na przyjaciela. najwłaściwszą zdawało mu się rzeczą. wynieść się co prędzej i uniknąć nowej historyi przy obudzeniu.

Ale to wyście śpieszne i z takiego powodu mięszało wszystkie szyki Miry. Mira miała już cały plan ułożony wcześniej. po obiedzie zamówione były konie na przejażdżkę do Wilanowa. na jutro także jakas partyjka miała się dopiero niby sama nastreczyć w Wilanowie... i tak dalej.

-- W tem nagle przybycie pijanego adonisa kałało jej dom. zraziło człowieka, do którego w całym blasku i uroku wystąpić chciała. wstrząsało zamkiem na lodzie.

Ale cóż było począć? wstrzymać nie zdawało się bezpiecznem, uciekać samej z domu, niezbyt przyzwyczajonem.

— Moja ty droga. szepnęła jej Lullier. zbliżając się do zapłakanej — mam ci coś zaproponować: zostawmy tu tego gbura. chodź, jedź ze mną, ja się umówiłam z sędzią S., że się spotkamy tam wieczorem. Nieśmiem proponować tym panom. dodała Lullier, ale gdyby byli grzeczni. toby nam towarzyszyli, bo biedny Hornim zostanie na straży Cyklopa, aby zbudzony. nie potłukł tu wszystkiego.

Sławski spojrzał na Orbekę. ten smutny. nie żeby go to zraziło. bo namiętność jest największym z sofistów. ale bolał nad przykrością jakiej doznała Mira. a gotów był dla pocieszenia jej, nie do Wilanowa, ale do Ameryki z nią płynąć.

— Jeżeli pan Orbeka chce jechać, ja nie stoję na zawadzie. ale mnie panie darują. bo jam człowiek pracy, godzin niewolniczych, i właśnie muszę...

Orbeka spojrzał na niego. ale Sławski był niewzruszony, ujął przyjaciela za rękę z uśmiechem. i rzekł po cichu.



— Ciebie już pono nie wyratuję, rzekł — no a przyznam ci się, że mnie to nudzi. Czym ja ci na co potrzebny?

Orbeka szepnęła.

— Ale miłym byś mi był bardzo.

Ciszej jeszcze spytał Sławski.

— Czyś ty tam potrzebny na co, jeszczebyś mógł i miał powód się wycofać. Walenty mój.

— Ale pan nam nie bałamuć pana Orbeki. szepnęła błagając Mira, która złe wrażenie chwil ostatnich, koniecznie naprawić chciała przejażdżką, proszę pana.

— O! nie! nie, rzekł Sławski wesoło, mówię o interesie. Wiem, że Orbeka powinien był dla nader ważnych interesów jechać do Lwowa.

— Ale jakież interesa są ważniejsze nad prośbę pięknej kobiety? spytała Lullier.

Sławski się skłonił.

Po cichu wyszli z salonu, w którym nad sapiącym szambelanicem, stał rozmyślając Hornim. jak mu sztukę wypłatać i zeszli po schodach. Sławski znówu prowadził Lullier, która patrząc na Lacedemonczyka, uśmiechała się, a Mira łoży swe i żale, wylewała na łono nowego przyjaciela.

Orbeka był już tak ślepy, że oprócz tych łez. prócz tego żalu i strapienia nic nie widział, nie słyszał nic. i gotów był na największe ofiary. aby otrzeć te zapłakane oczęta.

## ROZDZIAŁ VI.

Historya to stara jak świat, smutna jak grób... Przypomnijcie sobie Kleopatrę, którą niewolnicy zawiniętą przynoszą temu, którego czarować postanowiła; Dalilę i Samsona, Omfalę i Herkulesa. i tysiąc innych powieści klassycznych i nie klassycznych, w których kobieta uprzedzonego zawczasu o jej płochości mężczyznę, u nóg swych zwyciężonego kładnie. Cóż gdy mężczyzna nie jest ani Samsonem, ani Herkulesem, ani Cezarem? Nic bowiem słabszego nad mężczyznę, któremu się uśmiechnie to szczęście co się zowie miłością. a najczęściej... Widzieliście pewnie w lasach południowych krajów, na murach i gruzowiskach miłosne bluszcze, opasujące pnie, okrywające rumowiska? Jakże czule obwijają się one na piersi swych ulubieńców! niestety! drzewa schną w tych objęciach i mury się kruszą.

A na górze... bluszcz się zieleni, jak ślicznie powiedział Fredro.

Choć stare to dzieje tych bluszczow i tych — z przeproszeniem — pui — nie mniej są one psychologicznie ciekawe. Każda z takich historyjek ma swe strony nowe, coś czem się od innych odznacza. co oddaje do historyi powszedniej... miłości. Zda się też nam, że i w tej którą opowiadamy. znajdują się dosyć ciekawe ustępy — choć może nie tak szczęśliwie. jakbysmy pragnęli odwzorowane.

Przejażdżka do Wilanowa, choć Mira z powodu szambelanica była podrażniona i w duszy gniewna. odniosła przewidziany skutek. Rozdrażnienie czyniło ją żywszą, smielszą. dziwniejszą, a fantazya i odwaga nigdy pięknej kobiecie szkody nie czynią.

Z tego wypadku wzięła assumpt. mówiąc po staroświecku, do wyrzekania na Warszawę, stolicę, jej społeczność, ludzi, a wstręt jaki do nich okazywała, cały się obrócił na korzysć Orbeki. On był wiesniakiem.

Lullier raz tylko przerwała jej, po cichu szepcząc:

— Ale moje życie. przecież gdyby ci się kazano na wsi zakopać, biorąc cię za słowo?...

Mira udała że nie słyszy.

Późnym wieczorem. koło Mokotowa odprawiwszy konie. powrócili pieszo, powoli. do Warszawy. Orbeka odprowadził je do drzwi mieszkania. Tu już rozstać się mieli, Lullier szła przodem na schody. gdy gospodyni zwróciła się do Orbeki.

— Kiedyż się zobaczymy? spytała — wszakże pan czuć musisz—jak ja—że się widzieć i widywać musimy. Więc kiedy? gdzie?

Było to tak niezręczne, ale czyż pochlebnej niezręczności miłość własna nie wytłómaczy zawsze?

— Ja muszę jechać do Lwowa, rzekł nieśmiało Walenty.

— Najprzód, cóż za mus? są ludzie stworzeni do interesów, niech oni za nas je robią; powtóre, gdyby już była konieczność. toż pan powrócisz? kiedy? prędko?

— Ale, nie wiem doprawdy.

— Wiesz co. zostań pan.

— Nie wiem, wahając się, dodał Orbeka.

— Lullier mi ucieka, a! takabyś rada pomówić z panem. Przypadłeś mi do serca. a! wstydzę się, że to mówię. ale... o! niebierz-że pan tego za złe. Jutro. wieczorem, będę w ogrodzie Mniszchowskim, przyjdź pan, wszak jutro odjechać nie możesz.

Tak się rozstali, ale Orbeka był już niewolnikiem.

Prosty. zimny rozsądek, pokazywał mu tę kobietę jaką ona była. malował ją. dom, otoczenie, towarzysztwo. Lullier. Hornim ów. ten szambelanic, cały ton, mowa, natarczywość... ślepym potrzeba było być, aby się nie domysleć przeszłości. której część zachodziła na teraźniejszość, a jednak... jednak. Orbeka słaby. wszystko sobie potrafił na dobre wytłómaczyć.

Sławski nazajutrz nie przyszedł do niego, tak był pewien. że się tam ze swą zimną rozwałą i radą mi na nic nie przyda. Dotknęło to Orbekę, ale poszedł wieczorem do ogrodu, i do późnej nocy pozostał na rozmowie z Mirą. która tak prowadziła rzeczy, że się

coraz poufalej. z nadzwyczajną zręcznością zbliżała do niego.

Była ona już tak pewną siebie i zwycięstwa. że z rana tego dnia. nie wiedzieć pod jakim pozorem. wypowiedziała dom Hornimowi. biednemu chłopcu. który jej służył jak piesek. i do koszuli się zrujnował dla niej. Jakkolwiek nazwała go kuzynem. czuła. że przytomność tego młodego krewnego. będzie jej przeszkadzać. drażnić. onieśmielać i odpychać Orbekę.

Przy rozstaniu z Hornimem. było wszystko. co towarzyszy tego rodzaju rozłomom: lzy. wymówki. gniewy. zgody. zaręczenia o przywiązaniu niezłomnem. wyznania. prośby. Hornim który sądził że był kochałym. wyszedł z tej próby przybity. znękany. zniechęcony na całe życie i tegoż dnia z Warszawy. dłużej w niej żyć nie mogąc. wyjechał.

Plac był do nowej budowy oczyszczony. zręczna pani urządziła się nawet tak. aby jak najmniej mieć gości. chciała się cała oddać wielkiemu interesowi — był to bowiem dla niej tylko interes. nic więcej.

Serce w tem udziale nie miało najmniejszego. poruszyłoby się było może. gdyby spotkało trudności do zwalczenia, ale jej szło aż do zbytku łatwo; jeżeli jakie uczucie obudziło się w niej dla Orbeki. to chyba politowanie.

Owego wieczora z ogrodu kazała mu się odprowadzić do domu. U schodów chciał ją pożegnać, ale szli razem, podawał jej rękę, rozmowa była niezmiernie ożywiona. W progu też sama historia. w salonie prosiła go odpocząć; potem poczuła się głodna. kazała dać kolacyjkę. zapraszając na nią gości. Wino grało znowu w niej pewną. choć podrzedną rolę. A potem

jakoś tak się wiązały. płynęły wytryskały jedne z drugich opowiadania. że siedząc przy sobie. sami jedni. we dwoje. zapomnieli się, do północy. Z balkonu widać było księżyc i drzewa. noc była wiosenna. cudowna.

Chwile się takie nie zapominają nigdy. Orbeka wyszedł rozmarzony. podbity. osłabły. tak. że już o Lwowie ani pomyślał. postanowił posłać plenipotentą, a sam zamieszkać w domu swoim na Podwalu.

Czwartego, czy piątego dnia. Mira już poszła z panem Walentym. ot tak. przez ciekawość tylko. zobaczyć, jak też ten dom jego wygląda. i znalazła go starym. ulicę nie miłą. a tu się właśnie nastęrczała zrzeczność jedyna. Po panu S. sprzedawano pałac na Krakowskiem-Przedmiesciu za parę kroć sto tysięcy. za bezcen.

— Gdybys pan go kupił. ja bym u pana zaraz najęła pierwsze piętro. A! wystaw pan sobie. jakby miło mi było, pan mógłbyś zamieszkać na dole. miałabym was ciągle blisko. a ja taka jestem biedna, niedoleźna, że się bez czyjejs opieki nigdy obejść nie umiem.

Orbeka zmilczał, ale w tydzień dom na Podwalu sprzedany był za bezcen, a pałac kupiony dosyć drogo — plasnęła w rączki dowiadując się o tem piękna pani, chciała się zaraz wprowadzać. ale nowy dziedzic prosił o folgę. Kamsetzer odnawiał i przyozdabiał dla niej pierwsze piętro, posłano po marmurowe komiuki do Włoch. po obicia do Paryża. po meble do Wiednia.

Orbeka zrazu się wstydził swej słabości. ale wstyd tego rodzaju nie trwa długo. człowiek się oswa-

ja z położeniem. tłumaczy przed sobą. kłamie. niesprawiedliwia błędami drugih. i... potem... już z czoła zerzetrze ostatki sromn dziewczczego.

Sławski odsunął się od niego. innych znajomych nie miał prawie. lżej mu było w tej samotności z nią. Mira zaś. nie śpieszyła dłań zawiązywać stosunków aby nikt z tak łatwego, jak się jej zdawało człowieka. nie korzystał.

Z nadzwyczajną zręcznością. z instynktem niezmiernym obwijała go sieciami powoli. Skromność wielka i bojaźliwość udana. były jednym ze środków które nżyła. Orbeka nie mógł się ani na krok posunąć nad to. co mu przy pierwszym poznaniu było dozwolonem. Gdy całe miasto miało go za poufałego przyjaciela Miry. on był tylko najpoufalszym jej sługą. Z natrny nieśmiały. szanujący kobietę, nie miał odwagi posunąć się krokiem dalej. ta czysta miłość była dłań najmiłszą. a Mira wyrachowywała dobrze, iż łatwą dłań być nie powinna.

Tymczasem starała się ugruntować swą władzę. a niekiedy próbowała trochę kapryśnie. jak też wielką uzyskała.

Z dawnego żywota pozostały jej. oprócz niewygodnych znajomości takich. jak naprzykład szambelana. straszniejsze jeszcze długi. Nawet w czasach największej swej świetności. Mira się bez nich jakoś obejść nie mogła. Było bo w dobrym tonie mieć naówczas długi. Knpcy wierzyli chętnie. Ale gdy się powiększały summy. a nic nie wpływało, zaczynali być dokuczliwemi. W chwili pozuania Orbeki. Mira była w dosyć niemiłym położeniu z tego powodn. upominało się. ścigano ją. musiała drzwi zamykać, ale gdy się

rozeszła wiadomość, iż gruby zwierz znowu dał się złapać w sieci. wierzyciele przycichli. nie chcąc przeszkadzać.

Niektórzy jednak wymierzywszy czas. wymiarowawszy okoliczności. zjawiali się znowu powoli. Mira nie wiedziała już jak się ich pozbyć. a nie chciała jeszcze nic żądać od Orbeki, czekała... Wprawdzie był on nślužnym bardzo. ale nie zbałała jeszcze, jakie wrażenie na nim robi odzieranie żywcem ze skóry.

Jednym z wierzycieli najzręczniejszych i najdokuczliwszych. był pan Joli, ex-Francz, jubiler modny. człek. który i na kredyt dawał brylanty nie najpierwszej mody, i odkupywał za bezcen klejnoty i pieńędzy pożyczzał. i do wielu delikatnych spraw służył za pośrednika.

Joli, który przybył do stolicy jako czeladnik. przed laty czterdziestu, miał lat dobrze sześćdziesiąt. ale jeszcze był przystojny. elegant i wcale żwawy. Otyłość mu nieco zawadzała, ale nader zręcznie ją nosił i krzepko.

Joli był w bardzo poufałych stosunkach z Mirą. Z niewiedzieć z jakich rachunków należało mu się kilkaset dukatów. w domu ich nie było dwudziestn, a dochód na trzy lata wprzód był oddawna zjedzony.

Jednego poranku, Joli, którego wielekroć już pod pozorem migreny. przechadzki. snu. gości i t. p. odprawiono ode drzwi, tego razu dosyć się gwałtownie do nich dobijał. Leżała zwinięta w kłębek na kanapce. na dwóch różowych łapkach trzymając niemniej różową buzię. Włosy blond rozpuszczone. dziwnie ją nbierały. była podobną do eberubinka



Joli stanął zachwycony w progu.

— Pani hrabina jeżeli długów nie płaci, to sama winna; jakże można, będąc tak cudnie piękną, nie mieć milionów do wyrzucania?

Pochlebstwo to było zarazem impertynencyą. ale wierzycielom się wiele wybacza, a pochlebstwo jak kadzidło zawsze smakuje. choć nie bardzo dobrane.

— Jaki bo ty jesteś nndny. mój Joli, odpowiedziała Mira. dla mizernych kilknset dukatów. tak mi pokoju nie dajesz. kiedyś u mnie tysiące zarobił.

— Ale. kochana pani hrabino. rzekł Joli, biorąc krzesło i siadając bez ceremonii — nie tyle tu idzie o zapłatę, co o porozumienie się.

— O jakie?

— Ja chciałem wiedzieć co się z panią dzieje? jakie są widoki? Może gdyby nic nie było. to by się coś przecie znalazło.

— Ale dajże mi pokój. rumieniąc się. odparła ex-podczaszyna. Zdaje mi się, że idę za męż... i bogato.

— A! za kogo?

Cichutko szepnęła mu. Orbekę.

Nieznam. rzekł Joli; ale po chwili namysłu i rzn-canych pytaniach, okazało się, że znał i wiedział o kim była mowa.

— Jaką byś ty mi mógł wielką oddać przysługę, a może razem i sobie, szepnęła po chwili namysłu Mira. Wiele ci się należy

Joli dobył pugilaresu i przeczytał 300 i 256 dukatów.

— Słuchaj a zrozumiej mnie dobrze. zaczęła mówić po cichu z iskrzącymi oczkami. Należy ci się pięćset pięćdziesiąt dukatów.

I sześć—dodał Joli.

A ja ci wydam kwit na sześćset pięćdziesiąt.

— A sto trzeba dapożyczyć? przerwał jubiler zimno—ale nie mam! słowo honoru, nie mam!

— A! nie śmiejąc się. zawołała Mira. Orbeka kupił pałac po panu S. Pierwsze piętro ja najęłam. on mieszka na dole. Gdybys waćpan poszedł z rachunkiem. tak trochę obcesowo się napierając. niby omyłką. do niego. Niepotrzebuję mu mówić. że potrzeba i mnie tam różowo nie czarno odmalować. i... zarazem wypróbować. jaki to człowiek do interesów. *S'il lache son argent facilement: ou...*

— O! o! rozumiem i podejmuję się. rzekł jubiler; jutro rano dam pani odpowiedź.

Mira chciała go opatrzyć w instrukcye obszerniejsze. ale obraził się tem prawie pan Joli. i zapewnił. że sobie da rady. a w żadnym razie. szkody nie robi.

To rzekłszy. wyszedł.

Można sobie wyobrazić. z jaką niecierpliwością oczekiwała wiadomości Mira. o obrocie delikatnej owej negocyacii. którą dla zbadania gruntu rozpoczęła. Trafiło się jakimś dziwnym wypadkiem, że tego dnia, Orbeka, który bywał często po parę razy. a za-

wsze prawie choć na chwilę musiał codziennie widzieć Mirę, nie nadszedł.

Przypuszczała więc że próba się nie udała. że dług mógł przestraszyć lub zniechęcić Orbekę, że cała jej praca, w niwecz została obróconą. Pod wieczór rozboleła ją głowa, a gdy Lullier nadeszła, choć się jej do niczego nie przyznała, zręczna dworka mogła poznać łatwo po twarzy Miry, że jakiś dręczył ją niepokój.

Ale dopytać się nie mogła. Mocno ją to zacieka-  
wiło, badała jednak na próżno. Mira zbywała ni tem  
ni owem, narzekając na świat i ludzi.

Noc przeszła niespokojnie, długi ranek był drę-  
czący, o jedenastej oznajmiono przyjście pana Joli.  
Mira rzuciła się przeciwko niemu. Zręczny dyplomata,  
miał twarz marmurową, nic z niej prawie wyczytać  
nie było podobna.

— Cóżś zrobił? mów coś zrobił? zawołała impety-  
cznie.

— Ale, naprzód trzeba wiedzieć, czym co zrobił?  
odparł z uśmiechem jubiler.

— Jesteś nielitosciwy! — Jakże to było?

— Plan doskonale osnuty przez panią hrabinę  
wykonany został z inteligencją, rzekł z wolna jubi-  
ler. Poszedłem do pałacu kwaśny, niecierpliwy; ga-  
dałem w sieni tak długo, tak głośno, że naresz-  
cie gospodarza wywabił. Powiedziałem mu, że szu-  
kam pani, że mam interes ważny, nie cierpiący  
zwłoki.

Zaczął mnie dopytywać delikatnie. Powiedzia-  
łem mu, narzekając na was naturalnie, że wy, przez

waszą dobroczynność i poświęcenie dla drugih, wiecznie wpadacie w kłopoty. powiedziałem, że jesteście mi dłużni. alem dodał, że zaręczyliście za biedną familią, i t. p.

— A! to wybornie. i cóż on?

— Spytał o wielkość długu, chłodno. Zacząłem mu mówić jeszcze o was, malując jakim był powinien. wahać się zdawał. potem błagając mnie o sekret jak najściślejszy, kartkę waszą wziął. i zapłacił wekslem na Cabrit'a.

Będąc u Cabrit'a. przekonałem się. że ma u niego leżących, excusez du peu. pięćdziesiąt tysięcy dukatów. ale Cabrit mi mówił. że wszyscy goli magnaci. zwąchawszy te pieniądze. już są na czatach. Gdybys mnie pani posłuchać chciała. i wywieźć go ztąd... bo go nieochybnie ogolą, a ta operacya, dodał Joli z ukłonem. pięknym rączkom pani pozostawioną być powiuna.

Mira uśmiechnęła się. serdecznie podziękowała Joliemu. który jej naprawił grzeczności. dowcipów i odszedł nareszcie. Orbeka przyszedł późno. ale w dobrym humorze. ze zwykłą swą pokorą i łagodnością. Mira już wiedziała, że go skubać można bezkarnie. była spokojną.

Dzień upłynął w ciszy domowej na słodkich rozmowach. Orbeka pozostał do wieczora. Niecierpliwiło to trochę piękną panię, że doszedłszy do stanowiska przyjaciela domu. innego zdawał się ani pragnąć, ani spodziewać. Był nieśmiały i prostoduszny aż do zakłopotania; trudno było biednej kobiecie. samej mu się rzucić na szyję.

Już brał za kapelusz, gdy Mira żegnając go, smutna, prawie się rozpłakała zrazu. a po chwili, na dobre rozsłochala i dostała spazmów. To naturalnie powstrzymało odcinającego, ale niczego się nie domyslał. Cucąc osłabła... poczul. że go odepchnęła silnie... Pan Walenty zmieszał się i przeraził, że mógł czemś na gniew jej zasłużyć. niezrozumiał co się stało...

Ona płakała. nareszcie z za łez dobyły się wyrazy.

— Niewdzięczny! okrutny! o mój Boże! on mnie nie rozumie.

Jak po nici wytoczyła się rozmowa dramatyczności pełna.

Mira kazała mu iść i nie pokazywać się jej więcej na oczy; przyznała. że jest niebezpiecznym, wygadała się z tem. że całe miasto ma na nią zwróconą uwagę, że ich ogadano, że poniosła z tego powodu ciężki szwank na reputacyi.

Orbeka sam nie wiedział co z sobą zrobić i jak się tłumaczyć.

— A! zawołał. czyż pani nie widzisz, żem zakochany. żem oszalały, że o wszystkim w świecie zapomniałem dla ciebie?

— Ale cóż będzie! co będzie z nami? przerwała Mira, wszakże tak zostać nie możemy, moje imię... ten stosunek... świat...

— Wina jest moja, i nie widzę innego ratunku, jak... oddalić się, rzekł Orbeka. Każesz pani...

Mira nie mogła nic zrozumieć.

— Pani wiesz, dodał, że jestem żonatym.

— Jaktó? kiedy był rozwód. i żona jego poszła za innego?

— Tak jest, odpowiedział z cicha Walenty, ale ja jej przysięgłem dobrowolnie, i jako uczciwy człowiek, przysięgi mojej złamać nie mogę. Czuję się nią związanym do śmierci. Nie jestem panem serca. ale powinienem być panem mego słowa i przysięgi.

Był to sofizmat zapewne, ale po swojemu rzeczywiscie uczciwego człowieka, Mira jeszcze zrozumieć go nie mogła. na ostatek przestraszyła się. widząc, że rachuba na ożenienie, jeżeli nie fałszywą była. to cel do osiągnięcia daleko trudniejszy niż się zdawał.

— Ale ani kościół, ani prawo. ani obyczaj, nie wymaga od pana...

— Tak, ja sam tylko wymagam tego po sobie, rzekł Orbeka, i słowo wyrzeczone bądź co bądź, utrzymam. Daruj mi pani, zawołał klękając, żem obłąkany. szalony, śmiał nie mogąc jej zaślubić. dać jej to biedne serce... Wielką dla mnie będzie ofiarą opuścić cię. ale widzę teraz. że ta jest nieuchronną. Na zawsze serce moje, zmysły, pragnienie, zostaną z tobą, ale ja... ja jutro jadę...

Piorun nie mógł by był razić silniej niezręcznej Miry, nad te słowa; w jednej chwili potrzeba było zmienić całą strategią, plan, i przywiązać do siebie tego człowieka. jeżeli nie stułą i przysięgą, to ofiarą i szczęściem.

Czytelnicy nasi nadto zapewne już dobrą powzięli opinią o Mirze, aby się nie domyślili łatwo. że w najrozpaczliwszym razie, potrafiła sobie dać rady.

To pewna, że w następującym tygodniu, expodczaszyna, która się tak lękała potwarzy, opinii, plotek, bez wahania nowy do nich powód dała, zajmując pierwsze piętro pałacu, ktorego dół zamieszkał pan Orbeka.

## ROZDZIAŁ VIII.

Zapewne z powodu, że tu apartamenta były obszerniejsze i wygodnie dozwalały przyjmować wielką liczbę gości, Mira otwarła dom swój, świetnie urządzony na wielką stopę, ómiąc najwspanialsze ówczesne pańskie dwory. Trzeba jej przyznać, że miała wiele dobrego smaku i że pieniędzmi zręcznie rozporządzać potrafiła. Publiczność dowiedziała się razem, że na Mirę spadło milionowe dziedzictwo, po jakimś stryjasku, jeżeli nie amerykańskim, to równie jak oni złotodajnym. To tłumaczyło zmianę skali życia.

Co się tyczy pana Orbeki, ten był tak niewidoczny, że mało kto o jego egzystencji wiedział. Lokatorka pierwszego piętra, wkrótce dla sług zapotrzebowwała kilku pokoiów na dole, pan Walenty więc mieścił się w parze lichych izdebek od podwórza, i tam zamknięty, samotne niemal pędził życie. Bywał on w salonach na górze, ale unikał po większej części tłumnych zgromadzeń i zabaw. Niedostatek gospodarza domu zastępował Hornim, który się wkrótce zja-



wił znowu. i para młodych chłopaków. pod niebytność jego za adjutantów przyjętych czasowo. Wesoło było bardzo. życie płynęło tem przyjemniej, że ten pocziwy Orbeka w niczem na zawadzie nie był. Ażeby sobą nie kompromitować tak godnej damy — krył się, robił małuczkim, zdawał się prosić o przebaczenie że żyje. i że śmie pod jednym z nią mieszkać dachem. Czuł całą swą winę.

Życie więc nrządziło się jak najdogodniej dla Miry, która stare popłaciwszy długie. nowe robiła żywo, nie tracąc czasu. Fałszywa pozycja Orbeki, który ją czuł bardzo. sprawiła to, że ani się naprzykrzać, ani zbyt pokazywać, ani być natrętnym nie mógł. Pozwalano mu co łaska, i jak biednemu żebrakowi rzucano ze stołu okruchy.

Przynajmy co komu należy. Mira była wesołą, lubiła rozrywki. potrzebowała życia, młodości. śmiechu. zabawy; Orbeka był smutny, nieco nudny, uczuciowy i nigdy może dwa charaktery kochanków gorzej dobrane nie były. On unikał świata, ona go szukała, on potrzebował samotności, ona wrzawy; on żył cały sercem wewnątrz, ona zewnętrzniemi pozorami. Po pierwszych więc dniach zaraz. nastąpić musiał powoli rodzaj rozwodu, i rozpołowienia życia, gdyż każde z nich szukało dla siebie warunków niezbędnych — Orbeka ciszy, Mira hałasu. Nigdy go koło niej nie brakło. tem mniej teraz, gdy znowu dom postawiła na tej stopie zbytku, która przywabia pasożytów i na wiele niemiłych okoliczności ślepemi i głuchemi ludzi czyni. Udawano więc. że wierzano w sukcesyją jej, że nie widziano Orbeki, że wszystko było w porządku.

Do tego rozprzężenia swobodnego nie przyszło od razu. w pierwszych dniach po instalacyi w pałacu, państwo dłużej bywali razem, drzwi dla natrętów bywały zamknięte, mieli swe godziny samotne. Walenty próbował nauczyć ją żyć sztuka. literaturą, rozmową, spokojem domowym, ale niestety — napróżno. Mira chwilowo dawała się zająć, pociągnąć. urokiem słowa. muzyki. — ale wkrótce zaczynała wyglądać oknem, i nastawiała ucha na ruch uliczny i wrzawę, porywała w ostatku za kapelusz, musiała wyjeżdżać. uciekała z domu. nie bez narzekań na obowiązki towarzyskie, na nudnych ludzi i t. p. W istocie samotność z nim, z jego powagą i smutkiem uroczystym. stawiała się dla niej wprędce nieznośną. a przywiązania na tem sercu wyczerpanem. największe ofiary. najgorętsza miłość, wyrobić nie mogła. Ona była młodym trzpiotem, on nadto starym i w sobie zamkniętym, nadto poważnie i seryo pojmującym uczucie. jego obowiązki i szczęście. jakie ono dawało.

Wkrótce też samą naturą rzeczy ułożyło się ich życie wspólne w ten sposób. że jak najmniej mogli być z sobą. Z rana Mira miała interesa. kupców. modniarki. listy. ledwie czas na przywitanie i zażądanie zręczne pieniędzy. których dla niej nigdy dosyć nie było; rzadko obiadowali razem, bo ona często miała zaproszonych gości. którzy dla Orbeki byli nie sympatycznymi. oszczędzała mu więc przykrości widzenia ich, ale nie chciała. bo ją bawili — poświęcić jemu.

Po obiedzie przybywali inni znowu goście, potem jechała w świat na wieczór i kolacją, a on jej towarzyszyć tam nie mógł. lub przyjmowała u siebie fircy-

ków i modne panie. Dopiero gdy się to wszystko rozjechało. pan Walenty przychodził na jakie pół godziny, ale Mira była zmęczona. ziewająca. prawda najczęściej o rzeczach. które go wcale nie zajmowały; skarżyła się na znużenie i odprawiała go rychło... On był rad, że mógł z uszanowaniem konce jej paluszków ucałować — jemu tak mało było potrzeba!... tylko łudzić się tem, że był kochanym.

To złudzenie trzymać musiała Mira. bo ją nagle porywała zgryzota i niepokój, obawa aby go nie straciła, i gdy się poczuła winną długiej obojętności. łącno odegrywała komedią przywiązania. namiętności. czułości. Padła mu do nóg. obsypywała go pieścizotami... a biedne człeczko odchodziło we łzach uszczęśliwione.

Żył potem długo tym datkiem, rozpamiętywając go w ciszy.

Śmiano się z niego na dworze jego królowej, ale on o tem nic nie wiedział; ona jednak sama oszukując go po trosze, bawiąc się w zaloty rozliczne, w intryżki wiązane na wszystkie strony, przy sobie nie pozwalała słowa powiedzieć przeciwko niemu. Czynem go nieraz lekceważyła, ale miała ten jakiś punkt honoru. że go kazała szanować.

To życie rozproszone. trzpiotowate, po za domem zawsze lub w tłumie. umiała Mira wszakże tłómacząc się z niego przed Orbeką, odmalować mu jako najważniejsze w świecie.

W fałszu była niezrównaną mistrzynią. była w nim prawdziwym artystą: opowiadała mu z największemi. najprawdopodobniejszymi szczegółami sceny wymyślone. nie bywałe, które na razie tworzyła,

z taką sztuką, że przysiądz było potrzeba, iż musiały być prawdziwe. Opowiadała o ludziach którzy nie istnieli, o wypadkach nie bywałych, o sobie, o Warszawie, to co jej dogodnem było dla przedstawienia mu się w promienistym ideale. — A że Orbeka z tamtym jej światem, w którym ona żyła, żadnego nie miał stosunku, nie mógł więc wcale sprawdzić powieści i nie podejrzywając ich nawet, nie myślał o tem wcale.

Miał w niej niezachwianą wiarę, i mogła mu była wmówić co się jej podobało. Zdawało mu się już uawet nieraz, gdy mu zmęczona poświęciła pół wieczora, lub kilka dnia godzin, że się powoli odrywa od nałogu roztargnień, od zakochania we wrzawie...

Tak długie upływały miesiące, nie potrzebujemy kreślić ich szczegółowego obrazu, z tych danych jakiesmy rzucili, każdy się ich łatwo domysli.

Orbeka coraz bardziej zakopany siedział w swych dwóch ciasnych <sup>a</sup>okoikach na dole, jakby na łasce we własnym domu, <sup>p</sup>osyć sponiewierany przez ludzi, którzy za ledwie <sup>n</sup>aj posługiwać chcieli, chociaż cały ten przepych, rosnący codziennie, opłacał.

Majątność jego oprócz domów cała zrealizowana w kapitały, leżała u bankierów na zawołanie, aby pani mogła tem swobodniej nią rozporządzać; to też bez zastanowienia rzucała oknami pieniądze piękna Mira, i nie było fantazyi którejby nie dogadzała.

Ona to pierwsza w Warszawie, trafiła na szczęśliwy pomysł posyłania bielizny do prania pocztą do Paryża, inne panie zawstydzone, że im to wprzód na myśl nie przyszło, naśladowały ją potem. Mira utrzymywała, że bieliznę praną w Warszawie, słychać było

mydłem i praczką, i że osoby delikatnych nerwów, no-  
sić jej nie mogły. Elegantki wszystkie później wy-  
krzyknęły, że z tego tylko chorowały... i Paryż począł  
opierać cały wielki świat stolicy. Niektórzy z męż-  
czyzn nawet poszli za tym pięknym przykładem.

Innych zbytków wyliczać trudno. Dwór był na  
bardzo pięknej utrzymywany stopie, mieli rodzaj mar-  
szałka dworu, Francuza. kamerdynera także z nad Se-  
kwany, czterech lokajów w liberyi, dwóch furmanów  
oprócz tego żeńskie otoczenie pani było liczne. a ku-  
chnia oprócz szefa rondli, obfitowała w pomocników.  
Na stajni przez oszczędność trzymano dziesięć koni  
niezbędnych, ponieważ Orbeka sam zawsze chodził  
pieszo... On i Nero, który podstarzał jakoś w War-  
szawie i nudził się w zamknięciu, samotne, długie od-  
bywali przechadzki.

Szczęście pana Walentego było całe szczegól-  
nego rodzaju, wyglądało ono na smutek i boleść.—Jak  
błyskawica wprawdzie przerzynały je chwile szalu,  
uniesień, egzaltacyi, ale nazajutrz zhywszy się i na-  
karmiwszy swego pana, Mira wylaływała znowu  
i między szczęściem wczorajszem a tęsknotą jutra, nie  
było najmniejszego związku.

W Warszawie Orbeka mało komu był znanym,  
uchodził za dziwaka, i nie pociągał ku sobie nikogo.  
W salonie na górze jeźli się zjawił przypadkiem, to  
chyba żeby wyreczyć Hornima i być posłanym do kre-  
densu, albo posadzonym do fortepianu dla zabawienia  
dilletantów.

Rzecz szczególna, to Mira, która grała z takim  
uczuciem Beethowena, wcale grać nie lubiła. muzyka

unosila ją na chwilkę, ale pracować nad nią nie mogła. Zaledwie rozpoczęła jedno. chwytala drugie, i nie nie wyrozumiawszy, rzucala wprędce znu-  
dzona, odkładając surowszą pracę na jutro. A ju-  
tro na nic czasu nie było, przyniesiono nową su-  
knę, zjawił się nowy wielbiciel... zachciało się ja-  
kiegoś nieznanego zbytku.

We wszystkim kaprys nią rządził wszech-  
władnie, główka otwarta na cztery wiatry była  
przewodnicą. serce spało. albo dawno już było  
umarłe.

Gdyby nie nadzwyczajna powolność i łagodność  
Orbeki. nieraz by już może przyszło pomiędzy nie-  
mi do sporu — ale biedny ów człowiek miał chara-  
kter stworzony do oszukiwania, wierzył w co chcia-  
no i byle nie zdradził drogich złudzeń, gotów był na  
wszystko.

Już prawie rok upływał od czasu. jak się Mira  
wniosła do kupionego pałacu na Krakowskiem. gdy  
jednego poranku Orbeka. który prawie nigdy gości  
nie miewał. usłyszał pukanie do drzwi. Po chwili  
zdziwiony dosyć ujrzał w progu dawno. bardzo już da-  
wno. niewidzianego Sławskiego.

Spotykali się wprawdzie z sobą w ulicy. kłaniali  
sobie z daleka. czasem kilka słów obojętnych przemó-  
wili do siebie. ale kapitan widocznie przyjaciela da-  
wnego unikał. a Orbeka nie zwykł się był narzucać  
nikomu. Odwiedziny te mocno go zdumiały, serdecz-  
nie był za nie wdzięcznym Sławskiemu i powitał go  
z żywą radością. bo go szacował i kochał. — Sławski  
zdziwiony obejrzał się po więcej niż skromnem mie-  
szkanin anachorety.

— Cóżes to ty w swoim własnym pałacu, tak ciasny sobie obrał kątek? zapytał.

— Ja? rzekł nieco zakłopotany Orbeka. niechcąc wyjawiać prawdy, bo mu pani na swój dwór. wszystko już była zabrała. ja... ty wiesz, lubię życie skromne, nie mogę mieszkać obszernie... tak przywykłem i tak mi lepiej.

Sławski nic nie odpowiedział.

— Wiesz, odezwał się po chwili. tu trochę duszno — w istocie pokoiki były zagracone. ciasne i nieprzewietrzane dawno — gdybysmy razem poszli się przejść do Saskiego ogrodu, lub w Aleje?

— Najchętniej, rzekł Orbeka. wielką mi to zrobi przyjemność... prosiłbym cię na śniadanie... ale.. przyznam ci się. że ja dla swobody... i dogodności, sam jadam w mieście zwykle, więc może razem..

— Ja już jestem po śniadaniu. odparł Sławski, ale będę ci towarzyszył jako świadek.

Orbeka dodał jeszcze. że dziś woli nie jeść. bo się czuje nie bardzo zdrowym, i wyszli razem.

Gdy minęli wrzawliwsze ulice. Sławski ujął go pod rękę, westchnął i tak się odezwał:

— Jeżeliś mi swą dawną przyjaźń zachował, przebaczysz mi. że się nie proszony, a pewnie też i nie dziękowany, muszę z obowiązku snuienia wmieścić w twoje interesa. — Pozwolisz mi mówić z sobą szczerze, i jakbądź to przyjmiesz co powiem. nie miej mi tego za złe. Są rany groźne, które lekarz przyjaciół. choćby krzyk bólu wywołał, dotknąć musi.

Orbeka zarumienił się mocno, ale milcząco uściśnął tylko rękę przyjaciela, a po chwili namysłu, rzekł głosem nieśmiałym.

— Mój drogi, o jedno proszę, nie chciejcie swoją miarą cudzego szczęścia mierzyć. Pomimo pozorów może dla ludzi nie rozumiałych, dziwacznych, ja jestem szczęśliwy...

— Ale jeżeli to szczęście opartem jest na fałszu? spytał Sławski.

— Jeżeli ja niem dobrowolnie żyję jest prawdą, co mi to szkodzi? zapytał Walenty.

— Nie chciałbyś więc aby ci oczy otworzono? rzekł Sławski.

— Byłaby to usługa wcale nie przyjacielska, ozwał się Orbeka. co mi po bolącej rzeczywistości, kiedym szczęśliwy marzeniem? na co mnie budzić?

— Z mojej strony zdaje mi się to obowiązkiem... rzeczy doszły do tego stopnia.

Orbeka zaczął widocznie drzeć, twarz jego pobladła. spuścił oczy, zdawał się walczyć z sobą, milczał.

— Wolałbym, żebyś był nie zagajał tego, rzekł, ale gdyś raz rzucił wyraz tak znaczący... obudził we mnie wątpliwość, wtrącił w niepokój... bądź co bądź, lepiej już czarę wypić do dna, choć gorzka... a może też w niej samej, przeciw twemu zwątpieniu. osłoda się znajdzie.

— Daj to Boże, ale ja watpię, rzekł Sławski. Znasz mnie, spodziewam się, widzisz że rok milczałem, nie narzucałem ci się ani z radami. ani z prze-



strogą... nie próbowałem nawet leczyć choroby z którą ci dobrze... Z tego już wnosić możesz, że nie pochopny do wdawania się w twoje sprawy, a w ogóle w cudze. muszę mieć ważne bardzo pobudki do zmiany postępowania.

— Tak wnoszę, rzekł Orbeka — ale czy te pobudki wytrzymają moją krytykę i mój pogląd na nie—to pytanie. Mówmy.

— Tak, po meżku, śmiało, szczerze, otwarcie. dodał Sławski, bądź mężnym. Zacznę od tego jak do wiadomości pewnych szczegółów doszedłem, bo to mnie nieco wytłómaczy ze wściubstwa mego.

Oto wiesz dobrze jak szczupłe mam dochody, i że z pracy powszedniej żyć muszę z dnia na dzień. Nie zdziwi cię to, że oprócz lekcyj rysunków, o które trudno, jako niezły rachmistrz, mam miejsce kontrolera w domu bankowym Cabrit'a.

Orbeka się zarumienił i zmieszał.

— Przez ręce więc moje przechodzą wszystkie księgi kassowe. Znaczniejsza część twoich kapitałów ulokowaną jest u tego bankiera, reszta u Teppera i Szulca. Wszystkie te domy komunikują sobie interesy swych wspólnych klientów. W ten sposób przyszedłem mimowoli do dokładnego obrachunku twojej fortuny. Wiesz-że jaki jest jej stan dzisiejszy, po roku skromnego życia, jakie prowadzisz? Dałeś Mi rze prawo nieograniczone rozporządzania swemi kapitałami, czyś jej spytał — i czy ona sama wie, ileście zjedli. w ciągu jedenastu miesięcy?

— Niewiem. rzekł Orbeka, domyślam się cyfry dosyć wysokiej, ale nie przechodzącej zapewne. lub o niewiele procent od kapitału.

— Byłoby to nader szczęśliwie, odpowiedział Sławski, miałeś pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych, przyrosłoby ci dwa tysiące pięćset procentów, ale jak ci się zdaje, ile z pięćdziesięciu ubyło?... nie licząc długów, które jeszcze prócz tego znaleźć się muszą.

Ale gdybym stracił dziesięć tysięcy dukatów, przypuszczam, zawołał Orbeka—więc cóż?

— Straciłeś piętnaście z kapitałów... rzekł Sławski, *cela va rondement*, parę lat jeszcze takich a nie zostanie—nic.

Sławski spodziewał się wywrzeć ogromne wrażenie niespodzianym tym bilansem na Orbecę, zadziwił się niezmiernie ujrawszy go ze stoickim spokojem uśmiechającego się łagodnie, bez najmniejszego wzruszenia śladu. Oslupiał..

— Mój przyjacielu odezwał się pan Walenty wiodąc go dalej — to co mi powiadasz, bynajmniej mnie nie przestrasza. Nadto jestem starym, żebym nie przewidział zawczasu. iż szczęście tego rodzaju jak moje. z natury swej kruche, nie może trwać długo. Ale trzy lata błokiego marzenia. czyż to nie dosyć?... Ja jestem szczęśliwy!

— Tyś szczęśliwy? zawołał Sławski — a zatem nie pozostaje mi nic tylko przeprosić cię — i pójść z kwitkiem, zawstydzonemu. Ale pozwól jeszcze dodać sobie dwa słowa: niepojmuję tego szczęścia, jesteś ślepy. głuchy?

— Jakto? zapytał Orbeka, ani jedno. ani drugie,.. i pocóż by mi się to przydało? mówię ci. żem szczęśliwy.

— I wierzysz tej kobiecie? i nic nie widzisz?

— Ale cóż mam widzieć?

— Co?... pytam się siebie... od czego zacząć i czy zaczynać ci otwierać oczy... ale smnienie każe — muszę. Cała przecie Warszawa dziwi się niepojętemu zaślepieniu twojemu. — ty jedeu..

— Cała Warszawa jest w błędzie, przerwał Orbeka żywo. Mira jest trzpiotem, lubi się bawić, nie zważa na opinią, bo jest czystą na sumieniu. ludzie ją mogą posądzać, obmawiać, ona o to nie dba — a ja w to nie wierzę.

Sławski stał z załamanemi rękami.

— Kochany Waleuty, rzekł — żał mi ciebie — ale raz dotknąwszy rany, będę muszę być niełitościwym.. Hornim który był jej kochankiem, powrócił i jest domownikiem. — Szambelanice.. nie wychodzi od niej.. jeździ z nią. afiszuje ją... ale...

Tu Sławski zaciął się.

— Mów do końca, rzekł Orbeka. już nie masz co mnie oszczędzać.

— Ale powtarzam ci. cała Warszawa gada o tem. dodał Sławski. Szambelanice przed trzema miesiącami najął mieszkanie obok twojego pałacu. Z buduaru Miry wybito w wielkim sekrecie drzwi do jego pokoju, pokryte oponą! Ludzie, którzy pracowali około tej ściany. wygadali się. zresztą szambelanice od swej strony tych drzwi nie kryje i pokazuje wszystkim, chlubiąc się niemi jak tryumfem. Jubiler Joli rozpowiada kto chce słyszeć. że naszyjnik brylantowy. który ona nosi, kupiony u niego został za dwa tysiące dukatów przez szambela-

nica. Mam że ci mówić więcej! Jesteś haniebnie oszukiwany, ssany, wyszydzony i dajesz sobą pomia-  
tać, dobrowolnie czyniąc się pośmiewiskiem ludzi...  
Na Boga! kochany Orbeko, opamiętaj się, oprzyto-  
mnij, namiętność się pojmnje do pewnego stopnia  
ale takie zapamiętanie w niej dobrowolne, takie za-  
ślepienie... taki szal...

Orbeka stał mieniać się, drżąc, a łzy mu się do-  
bywały z powiek; widać było, że w łonie jego strasz-  
liwą burzę wzniciły wyrazy Sławskiego. Gniew tyl-  
ko strzelił mu z powiek.

— Przyjacielu! zawołał, nóż mi wbijas w piersi,  
cóż by wróg uczynił gorszego?

— Ja cię chcę uleczyć!

— Jam nie uleczony... to wszystko fałsz! to fałsz...

— A gdyby to wszystko prawdą było, gdyby cię  
ta kobieta oszukiwała?

Orbeka zakrył sobie oczy.

— Ja bez niej żyć nie mogę! zawołał.

— Jeżeli tak jest, zimno odezwał się Sławski. zapo-  
mnij że o tem com ci mówił. przepraszam cię... na to  
już nie ma ratunku.

— Tak! dodał po chwili Walenty, nie ma ratunku  
na to... aż gdy mnie do torby przywiedzionego wy-  
pchną na ulicę... Naówczas siądę jeszcze pod oknem  
aby patrzeć na nią. aby ją widzieć przejeżdżającą.  
aby złapać uśmiech jej po drodze, nie dla mnie prze-  
zuaczony...

Sławski ruszył ramionami w milczeniu. ścisnął  
go za rękę z politowaniem i chciał odejść, Orbeka go  
powstrzymał.

— Czekaj. — rzekł — nie gniewaj się na mnie, jam bezsilny. jam oszalały. miej litość... przebacz...

— Cóż ja ci mam przebaczyć? za co ja mógłbym się gniewać na ciebie? rzekł powoli Sławski — lituję się... nic więcej. Gdybym miał do tego jakie prawo. ująłbym cię siłą, odciągnął, ocalił może!

— Ocalony, jabym umarł — odparł cicho Orbeka, ja w niej żyję... Wierz. to są fałsze, to są intrygi... ale gdyby to wszystko było prawdą. gdybym na moje oczy widział zdradę.. nie miałbym siły... chyba umrzeć!...

Niemówiąc słowa Sławski, ścisnął mu rękę raz jeszcze i poszedł powoli, zostawując go na ławie. na którą upadł bezsilny.

Pod starą lipą alei. przesiedział tak z myślami i uczuciami. szarpiąc się do wieczora — Orbeka, potem znużony, zdretniały. powlókł się machinalnie do domu.

Było już po obiedzie. gdy przyszedł. naturalnie nie czekano nań. pani miała gości, a po stole, zaraz kilku powozami wyruszyli wszyscy na Saską Kępę na podwieczorek. Niemiała powrócić aż późno w nocy.

Ale to dzień był, jak są czasem dnie w życiu. niezwykajny ze wszystkich względów.

Na dworze pani Miry, od kilku miesięcy była wzięta ze wsi wprost. skromna i cicha dziewczeczka, niefortunne igrzysko całego dworu, dosyć ładna a nie zmiernie wdzięczna Anulka.

Mimo słicznej twarzyczki, figurki zręcznej, bardzo pociągającego wyrazu oblicza, Anulka była

prawie kaleką. Skutkiem jakiegoś wypadku w dzieciństwie. nakuliwała nieco na jedną nóżkę. A choć skakała bardzo zręcznie. i mało co tego było widać, przezwano ją chromą, i pod tem imieniem więcej niż pod własnem znaną była. Ofiara niesfornej dworni. Anulka pracowała za wszystkich, cierpiała popychana. wyszydzana. i nawet u panów lokai nie miała jakoś łaski. Zbyt była bojaźliwą i skromną. Wychowana w ubogiej chatce szlacheckiej. przez dziada i babkę. niegdyś pieszczone wnuczátko. była od młodu roztkliwiona. kochająca, serdeczna. ale niecierpiała wrzawy, zabaw i bezwstydu, jaki naówczas równo z panami sługi kaził. Siedziała też w kątku nad robotą, posługiwali się nią wszyscy. i płakiwała całe dnie. bo całe to życie raziło ją. przerażało. Chciałaby była uciec. a krewni ją zmuszali pozostać. aby się jej pozbyć, i myśląc że się jej coś w mieście trafi.

Anulka tedy była zmuszoną patrzeć na swawolę. zamykać oczy na niepojęte dla siebie sceny. i trochę pokójn okupywać ciężką pracą.

W domu Orbeki było we zwyczaju. iż żaden z panów lokai nigdy nie raczył jemu usłużyć; spychano ten obowiązek na stróżów. na dziewczęta. na chłopców kuchennych. On się nigdy na to nie skarżył. Od niejakiego czasu Anulka, która widziała dobrze położenie nieszczęśliwego człowieka, zdjęta jakąś litością i sympatyą dla niego. może żywszem jakimś uczuciem. które budzi często politowanie. sama prawie podjęła się wszelkich usług około Orbeki. Nikt na to nie zważał, bo wszyscy ra-

dzi byli wyręczeniu. Orbeka mało kiedy spojrzał nawet na Anulkę, ale mu ta cicha, grzeczna, uprzedzająca jej usługą była miłą. czuł w niej mimowoli trochę serca. chociaż ani posądzał. żeby go tam być mogło tak wiele.

Było go w istocie więcej niżeli się mógł spodziewać. Anulka chciwie podejmowała się wszelkich usług dla pana. a choć rzadko do niej przemówił. rada go była choć widzieć zdaleka.

W istocie nie czem innem pociągnął ją ku sobie biedny człowiek, tylko wyrazem znużenia. cichej rezygnacyi i smutku. Są dusze pocziwe. dla których one są nieprzewyciężonym urokiem... ale jak takich dusz mało. Najczęściej smutek obudza wstręt. odrazę. znużenie — prości śmiertelni uciekają od nich jak mogą najdalej.

Tego dnia, chociaż już było późno, Anulka zeszła wypadkiem do kuchni po obiedzie. gdy chłopak wpadł i zawołał:

— Otóż teraz dopiero ten stary nudziarz powrócił. kiedy wszyscy zjedli! I noś mu tam do jego pokoju, licha wie gdzie łązi!

— I kiedy nie przyszedł w porę na obiadł. odparł kuchmistrz patrząc na zegarek, to znać jeść nie potrzebuje. I niema mu co dać, ochłapy.

— Albo on co innego zwykł jeść? spytał chłopiec — tylko mu się to i daje...

— Niech będzie z raz na czczo. to się godzin nauczy pilnować, rzekł kuchmistrz. Co to ja dla niego będę do nocy siedział? Zresztą pal go tam diabli. jak

się nie upomni nie dam, a jak się upomni, no to są ochłapy, niech ogryza kości.

— Ale, wstyďte się tak mówić, — przerwała Anulka.

— No, czego się mam wstydzić! albo to on tu pan? czy co? ja go nieznam—zawołał kuchmistrz. mnie pani przyjęła i płaci..

— I mnie też. — rzekł chłopiec. siadając na ławie — co mi tam, albo ja tam muszę wiedzieć czy on wrócił!

— To moja rzecz obiad zanieść. odezwała się chro-  
ma, tylko mi dajcie, proszę.

— O! o! pochlebni! rzekł kucharz! zalecasz się do suchego pieńka.

— Mówcie tam sobie co się podoba, ja proszę o obiad!

Dał się jakoś skruszyć pan kuchmistrz, pozlewał ostatki i wcale nie ciekawe jadło ustawił na tacy, którą Anulka co żywiej poniosła. Weszła z cicha do pokoju, nakryła stolik, zdjęwszy z niego ostrożnie książkę. ustawiła wazkę i półmiseczki, zakaszłała, czekała.

Orbeka siedział odrętwiały z oczyma wlepionemi w ogród. nie słysząc uic i nie widząc. Anulka postrzegła z podziwieniem. że oczy miał jakby zapłakane, żał się jej wielki zrobiło nieszczęśliwego. Zakaszłała drugi raz. nieodwrócił się, brzęknęła półmiskiem. zobaczył dopiero, że mu do stołu nana-  
nakryto. Smutny jakiś uśmiech przebiegł po jego



ustach. Anulce patrząc nań. Izy się w oczkach siwych kręciły.

— Niechże pan co zjé, szepnęła po cichu.

— Dziękuję ci, nic mi się jeść nie chce, rzekł ochrypłym głosem.

— Ale pan nic nie jadł.

— Nie mogę!

— Może pan chory? spytała.

— Tak. może chory, ale to przejdzie, to przejdzie... to nic...

— Może panu co innego zrobić? przynieść?

— Nie. nie. dziękuję, tyś dobra dziewczeczka. moja Anulku... ty jedna...

Ale się pomiarkował, niedokończył. coś pomyślał. wziął woreczek, dobył kilka dukatów i rękę wysunął ku Anulce.

Ta aż się cofnęła zarumieniona.

— A! proszę pana, zawołała żywo, powiedział pan żem dobra, i zaraz chcesz mi za tę dobroć płacić. O! nie czynź że mi pan tej przykrości, proszę.

Orbeka się zdziwił i zawstydził.

— Ale... chciał się tłumaczyć.

— Już tylko schowaj pan te nieszczęśliwe pieniądze. prawie płacząc zawołała Anulka.

Nie było sposobu. pan Walenty zawstydzony, przeprosił ją cicho.

— Jest pani? spytał.

— O! niema. wyjechali wszyscy na Saską Kępę.

— A w pokoju pani niema nikogo? zapytał, ja potrzebuję tam wejść... po książkę.

— Do którego pokoju? zapytała Anulka.

Jakto? dlaczego? przerwał Orbeka.

— Tak, bo pani jeden pokój zawsze zamyka.

Uderzyło to Orbekę, bo dawniej nigdy żaden nie bywał zamknięty, ale bojąc się dać posądzać ludziom o niedowiarstwo—zamilkł...

— No, to niepotrzeba, rzekł, nic, już nic.

Anulka błędziła jeszcze długo: zbierała obiad, krzątała się, potem widząc go tak pogrążonym w smutku, wyszła.

Ale w kwadrans wbiegła nazad.

— Proszę pana. pokój był zamknięty, zawołała spiesznie. ale pani widać klucz zapomniała we drzwiach, pan może wejść.

— Dziękuję! rzekł Orbeka.

Po wyjściu Anulki. pasował się z sobą czas jakiś. naostatek. jakby pchnięty siłą nieznana, pobiegł po schodach, wprost do tego tajemniczego pokoju.

Już się zbliżał ku drzwiom po cichu. gdy ujrzał je nieco przymknięte i z wnętrza usłyszał wesołe śmieszki kobiece. Były to dwie garderobiane pani, które korzystając także z pozostawionego klucza. oglądały widać kryjówkę; posłyszawszy chód, wybiegły. śmiejąc się do rozpuku, gdy postrzegły Orbekę i znikły.

Walenty stał jeszcze w progu nie pewien co ma począć, potem, znowu prawie mimowoli, wsunął się do buduaru.

Pokoik ten. w którym dla formy stał klęcznik.

był ślicznie przystrojony, nic w nim na oko ani tajemniczego, ani dziwnego nie pokazywało się. Klomb z wazonów osłaniał jeden kącik, po za nim było przejście. Wiedziony instynktem wszedł tam Orbeka. I... w ścianie zobaczył zręcznie ukryte, ale dość jednak widoczne drzwi, które nie mogły gdzieindziej prowadzić tylko do sąsiedniego domu, bo ścianą tą kończyła się kamienica. Przejście to, gdy pałac knpował, wcale nie istniało.

Dość było je zobaczyć, aby powieści o szambelanicy znaleźć potwierdzenie, Orbeka uczuł się zabitym, w głowie mu szumiało i prawie nieprzytomny wrócił nazad, ale na schodach myśl mu przyszła jakaś, cofnął się, poszedł raz jeszcze, drzwi pokoju zatrzasnął na klucz, a klucz schował do kieszeni. Potem jak pijany z bólu, z gniewu i żalu stoczył się ku swoim pokoikom, rzucił w fotel i począł płakać.

Biada mężczyznom co płaczą!

Żza mężka ze krwią chyba, na ofiarę wielką płynąć powinna, nigdy na obmycie powszednich bólów żywota: jest ona skarbem, którym szafować się nie godzi.

Kobieta nią żyje, mąż nią umierać chyba powinien.

Ten co na losy własne łązy leje, osądzonym jest; brak mu tej energii, którą towarzyszyć powinna wodzom życia, sternikom mężom. Żza jest wyrokiem, który mówi — zginiony jesteś. Tylko nad cudzą niedolą łążę nam wylać wolno — a i ta... musi iść razem z dłonią wyciągniętą do pomocy. Lepiej jest

jeszcze i właściwiej, połknąć ją. a nieszczęśliwego ratować.

Jednak Orbeka płakał. To go maluje zdaniem naszym. W jego położeniu kto inny byłby gniewem i oburzeniem przejęty. on się roztkliwił nie nad sobą ale — nad nią. Bolał nad jej upadkiem więcej niż nad swoją niedolą.

Ile tak godzin przesiedział. rachując się ze swem sumieniem, obwiniając tylko siebie, grzech cały kładnąc na swe barki, aby go zdjąć z jej ramion, sam niewiedział.

Anulka gdy już dobrze ciemno było, przyniosła mu świecę, popatrzała na osłupiałego i widząc go tak strasznie wybladłym, spytała parę razy co mu jest. a nieodebrawszy odpowiedzi. wyszła przestraszona i niespokojna.

Pani nie powracała do późnej nocy. już było około pierwszej, gdy przeprowadzona przez całą jakąś bandę wesołych towarzyszków do bram pałacu, wysiadła z powozu i śpiewając wbiegła na schody. Późna pora dozwalała przypuszczać, że Orbeka już był się spać położył. nie pomyślała nawet o samotniku. i zawoławszy służące, udała się do sypialni. Niewiem jaka potrzeba zmusiła ją sięgnąć do klamki buduaru, znalazłszy go zamkniętym. roz-targniona była pewną. że go sama jak zwykle zatrzasnęła i klucz miała w kieszeni. Ale pomimo najstaranniejszych poszukiwań w sukniach i powozie nigdzie się nie znalazł. Była więc w bardzo jakoś złym humorze.

W każdym takim nieszczęsnem gospodarstwie, każda taka pani. musi mieć konfidentkę. pannę respektową. przyjaciółkę. służącą. Bez tego przy rozgąłżzionych intrygach obejść się trudno. Mira miała też wierną sobie Julkę, która chociaż przed kilku godzinami śmiała się z ukrytych drzwiczek z drugimi, i nie szczędziła. szydersko się naśmiewając, swęj pani, — służyła jej, pochlebiała i donosiła. Ta widząc Mirę w tak złym humorze, a domysławając się przyczyny, gdy inne wyszły. po cichu na progu się ukazała, kładnąc palec na ustach.

Mira domysliła się jakiejs tajemnicy i zbliżyć kazała.

— Cóż tam? spytała.

— Pani szuka klucza od buduaru! cicho szepnęła Julka.

— No. tak, zgubiłam go gdzieś. to mnie gniewa. nie mam zwyczaju nic gubić. jutro potrzeba będzie sprowadzić ślusarza.

Julka machnęła ręką.

— Ja już muszę pani wszystko powiedzieć. rzekła prędko, wszak pokój dziś został nie zamknięty. klucz był we drzwiach.

— Ale gdzież znowu?

— Jużciż ja to najlepiej wiem, bom widząc jak Agatka z Anulką poleciały tam szperać.

— One tam były? zawołała Mira.

— A! były, ledwiem je ztamtąd wyprowadziła.

— Więc któż klucz zabrał? — spytała niecierpliwa.

— Niechże mi pani pozwoli dokończyć, mówiła cicho Julka. Pan, (ten z dołu) wrócił do domu późno, nie wiem czegoś smutny. włóczył się po całym domu, przyszedł i tu do tego pokoju, oglądał, patrzył, jakby czegoś szukał. a potem. pewna jestem, że to on klucz zabrał.

— A! ja nieszczęśliwa! łamiąc ręce i zdradzając się krzyknęła Mira, i widział drzwi... widział...

— Jakież? spytała, udając niewiadomość, służąca.

Mira spojrzała na nią i ruszyła ramionami tylko niedowierzająco — kłamstwo Julki było niezręczne.

— Słuchaj, rzekła, oto masz dziesięć dukatów. idź natychmiast do sąsiedniego domu, do szambelani-  
ca. niema chwili do stracenia. sekundy; powiedz mu odemnie, aby w kwadrans, te nieszczęśliwe drzwi były mi zabite. zamurowane, co chce, jak chce, ale żeby się otwierać nie mogły.

— Rób co chcesz, spuszcza się na ciebie. daj mi szal. ja idę na dół.

Spojrzała na zegarek.

— Postaram się, dodała z zimną krwią. zostać na dole do pół godziny, może dłużej... potem przyjdę na górę. ale wówczas już drzwi być powinny zabite, zasklepiene.

Oczy jej paliły się gdy to mówiła, oddychała żywo. ale przestrach już był odszedł. obawa pierzchnęła. była pewna siebie. przejrzała się w zwierciadle, czuła się zachwycającą... Rzuciła szal purpurowy z palmami na ramiona, zatrzymała się chwilę myśląc na progu, utopiwszy głowę w dłoniach i... poszła.

Orbeka siedział jeszcze osłupiały, z usty drżącemi, na tem samem miejscu, gdzie padł wróciwszy z góry; gdy do drzwi jego zastukano. niesłyszał nic. Mira weszła i z poskokiem rzuciła mu się na szyję.

Ruch jej. postawa, tak były przejęte uczuciem, wyraz twarzy tyle miał prawdy. że trzeba było znając okoliczności. skłonić głowę przed doskonałą artystką.

Orbeka widząc ją zmierzającą ku sobie, odskoczył, jakby zobaczył upiora, jakby nastąpił na węża.

Mira stanęła.

— Co ci jest? tyś chory? zawołała.

Walenty milczał patrząc na nią.

— Ale wytłómacz że mi, co to znaczy? cofasz się odemnie, gdy ja spragniona wracam do ciebie? milczysz! patrzysz. jakbyś się na mnie gniewał. Zmiłuj się!

— Co mi jest? wybażnął Orbeka ledwie się mogąc zebrać na te słowa—co mi jest?

I rzucił jej klucz na stół.

Mira. jakby nic nie wiedząc. niczego się nie domyślając, patrzała. wybornie udawała osłupienie. podziw, litość. jakby nad obląkanym. Nie poznawała klucza.

— Cóż to jest? jakiż to klucz? wytłómacz że mi tę zagadkę?

Orbeka milczał długo, był zmieszany tym spokojem.

Mira zaczęła się przypatrywać bliżej kluczowi.

uderzyła się po kieszeni i nagle zaczęła się okrutnie, nadzwyczajnie, niepohamowanie śmiać.

Padła na krzesło z tym śmiechem. przestawała. śmiech konwulsyjny porywał ją znowu, usiłowała mówić, nie mogła. rzucała się, tupiała. utulić niby pragnęła. ale to moc jej przechodziło. Orbeka patrzył stojąc na nią. zachwiany. niepewny, zaczynając już podejrzynwać siebie, że dostał obłąkania, że oszalał. Śmiech szczery na pozór, namiętny, gwałtowny, pusty rozlegał się po pokoju z wyrazem naiwności i szczeroty prawdziwie mistrzowsko pochwyconym.

Nareszcie upłakawszy się ze śmiechu tego, Mira poczęła mówić. ale niekiedy ta pusta wesołość jeszcze jej przerywała.

— A! teraz to już wiem co to znaczy. rzekła. zapomniałam drzwi zamknąć przez nieuwagę, tyś poszedł, odkryłeś wejście do sąsiedniego domu. przypomniałeś sobie. że obok właśnie stoi szambelanic i szatan zazdrości chwycił serce twe w swe szpony! Doprawdy, mogłabym się oburzyć. pogniewać seryo na wieki, za takie jakieś dziwaczne tłómaczenie rzeczy w świecie najniewinniejszej.

Orbeka stał tracąc przytomność.

— Zkąd się wzięły te drzwi zaraz ci wytłómaczę, mówiła powoli Mira. Nim jeszcze szambelanic stanął w tamtym domu. raz byliśmy ze sędzią K. w moim buduarze. dla obejrzenia klęcznika, który był właśnie przyszedł mi z Paryża. Spostrzegłam. że starosta na ten kątek zwracał nieustannie oczy, podchodził. przyglądał się, nareszcie palcem ściany zaczął próbować.

Zdziwiło mnie to, usiłowałam wybadać; zrazu



nie mi powiedzieć nie chciał. wykręcał się. bałamucił. naostatek wyznał przyciśniony przezemnie. iż wiedział. że pałac ten za posiadania przeszłego dziedzica. miał zrobione z jego gabinetu. obrócone na mój bnduar. przejście do pani S. Niechciałam wierzyć. zaczęliśmy się sprzeczać. Sędzia się uparł. poszliśmy w zakład. Ale cóż się stało. Drzwi egzystowały w istocie. tylko lekko malowanem płótnem przysłonięte. Sędzia pochwycił blejtram i oderwał. Drzwi zostały odsłonięte. Natychmiast posłałam do sąsiedniego do mu oburzona, przelekła, wystraszona. nie chcąc ci o tem nie wspominać, i okazało się jak najdowodniej. Słuchaj że—możesz się o tem sam przekonać, że drzwi z tamtej strony nie ma wcale. bo zostały zamurowane bez śladu. Zostawiono je widać, zakleiwszy, z tej strony czy przez nienagę. czy dla braku czasu. Otóż cała ta straszna historia, z której może ktos cos ulepił. widząc. że mi się szambelanic zaleca!

A ty! dodała smutnie. grając rolę ofiary: a ty. na najmniejsze podejrzenie. nie mając żadnego zaufania dla mnie, mimo tylu przywiązania dowodów. posądzasz mnie natychmiast o tak szkaradną. czarną nędzną zdradę! A! to okropnie.

— Tak. zawołała gwałtownie. mozem na to zasłużyła, przyjmując to położenie w którym się znajduję. ale przynajmniej nie od ciebie.

Tu oczywiście wypadało płakać i Mira się rozplakała. Orbeka najszczęśliwszy z ludzi padł jej do nóg przepraszać, a pojednanie po pewnym oporze. gniewie, wymówkach, skończyło się wybuchem namiętnej czułości.

Orbeka nie poszedł nawet sprawdzać opowiadania na górę, doskonała artystka łzami, wyrazem twarzy, przekonała go o swej niewinności. On sam był niewdzięcznikiem. on jeden winowajcą!—on zbrodniarzem. co śmiał tak niewinną posądzić.

Potem. pani ziewając. powróciła na górę, gdzie na nią oddawna drzemiąca Julka czekała i kazała się rozbierać.

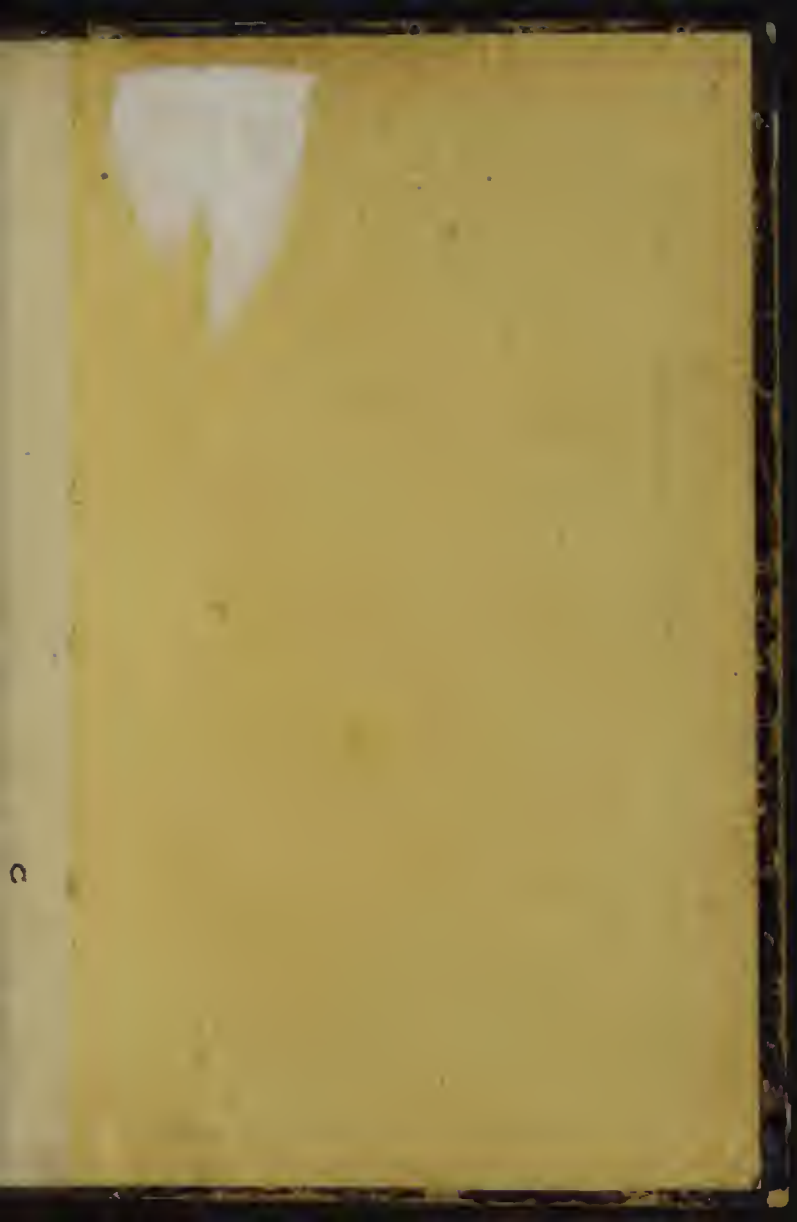
— Drzwi zabite, szepnęła sługa.

— To dobrze. ale widzisz. nawet tego nie było potrzeba, to dobry. spokojny człowiek.

I rozśmiała się sama do siebie ruszając ramionami, a sługa popatrzyła na nią i odeszła. z prawdziwą dla swej mistrzyni admiracją.







Biblioteka Raczyńskich

**JIK2251**



JIK2251